



# BIAŁE BŁĘKITNE

*Polska walcząca na Wschodzie*

RGK III Nr 23 (62)

NIEDZIELA 13 CZERWCA 1943 R.

CENA 20 FLŚ

## NACZELNY WÓDZ WŚRÓD ŻOŁNIERZY

Sroda 2. VI.

### NACZELNY WÓDZ NA OSTRYM STRZELANIU NA TERENIE ARTYLERII

Naczelnny Wódz obserwował ćwiczenia z punktu obserwacyjnego pod namiotem w towarzystwie generałów Andersa, Klimeckiego, Rakowskiego, generała brytyjskiego Nesbitt Beaumont'a oraz wyższych oficerów polskich i brytyjskich. Dowódca APW gen. Anders przedstawił Naczelnemu Wódzowi założenie ćwiczeń, polegające na natarciu na npla zorganizowanego w obronę.

Po wykonaniu zadania przeprowadzono strzelanie na wskazane przez Naczelnego Wodza w terenie punkty. Czas wstrzelowania się był bardzo krótki, wyniki uznane za wybitnie dobre. W czasie ćwiczeń czynny był też sztab zwalczania artylerii npla. W terenie zarówno działobitnie jak i punkty obserwacyjne oraz punkty łączności były doskonale zamaskowane, całkowicie zlewając się z terenem.

Po skończonych ćwiczeniach Naczelnny Wódz osobiście podziękował żołnierzom.

Na śniadaniu gen. Sikorskiego powitał płk Z.

Gen. Sikorski odpowiedział w następujących słowach:

„Mój pułkownik! Żołnierze! Całym sercem dziękuję za te słowa powitania.

Długo i daleko byłem od was, ale myślałem i sercem byłem zawsze wśród was, dzieliłem wasze troski i prace.

Z całą radością stwierdziłem dziś, że przyszedłszy na wolną ziemię i otrzymawszy nowoczesny sprzęt bojowy i stawszy się żołnierzami zdającymi w pełni egzamin, jesteście w pełni zbrojnym ramieniem Rzeczypospolitej i to ramię zbrojne zawazy w decydującej końcowej fazie wojny, zawazy jedynie i wyłącznie na rzecz Polski, Polski wielkiej i sprawiedliwej dla wszystkich.

Przeszliście bardzo dużo. Szczęśliwy jestem, że tych przejść na waszych twarzach nie widać, że znętylko u was rawziętość, która wyrazi się w boju, wyrazi się w ten sposób, że sztandar, który reprezentuje okryje się chwałą wiekopomną.

Dziękując panu, panie pułkowniku, za pańskie żołnierskie słowa, skierowuję pod waszym adresem nie tylko moje najgłębsze, najserdeczniejsze żołnierskie pozdrowienia, ale również gorące pozdrowienia Prezydenta Rzeczypospolitej. Prezydent Rzeczypospolitej i Najjaśniejsza

szca Rzeczpospolita — niech żyją.”

Orkiestra odegrała hymn narodowy. W czasie śniadania gen. Sikorski wznosił równi ż toast na cześć J. K. M. Króla W. Brytanii Jerzego VI.

### U SAPERÓW

W godzinach popołudniowych Naczelnny Wódz dokonał inspekcji jednego z haonów saperów armii.

Gen. Sikorski zatrzymał się dłużej w kompanii mostowej, gdzie z zainteresowaniem oglądał nowy sprzęt mostowy.

Wieczorem odbyło się piękne

Polski po całym świecie, pozdrawiają was gorąco i z całego serca. Pozdrawia was również — i przed tym uchylił musimy wszyscy czoła — korzystając z mego przyjazdu na Srodkowy Wschód i nasz bohaterski, nieugięty, niezłomny od 1 września 1939 r. Naród.

Droga, która prowadzi do wielkości jest ciężka i trudna. Wymaga ona wielkich ofiar, lecz ta droga jest dla Polaka jedyna. To, co dotychczas widziałem na Srodkowym Wschodzie utrwala mnie w przekonaniu, że wesłicie na drogę bez-

danie ścigać wycofującego się npla i utrudnić mu przeprawę przez rzekę. Po zakończeniu ćwiczeń gen. Sikorski oglądał zdobyczne działko ppanc niemieckie, zdobyte przez pułk w czasie kampanii libijskiej.

### GEN. POWNALL U GEN. SIKORSKIEGO

Do kwatery Naczelnego Wodza przybył w sobotę dowódca Paiforsu generał sir Henry Pownall, z którym gen. Sikorski odbył dłuższą konferencję.

Niedziela 6. VI.

### WŚRÓD UŁANÓW

W niedzielę Naczelnny Wódz przybył niespodziewanie w towarzystwie swego adiutanta do miejsca postoju pułku kawalerii samochodów pancernych o godzinie 5,45 rano.

Gen. Sikorski obszedł namioty i był obecny przy pobudce. W szeregach rozmawiał z ułanami wypytywał ich o warunki życia, zakwaterowania, przetrwania i losy rodzin.

Przed odjazdem do swej kwatery Naczelnny Wódz podziękował dowódcy pułku za porządek w rejonie zakwaterowania oraz za dobrą postawę żołnierzy.

### NA MSZY ŚW.

O godz. 8 rano Naczelnny Wódz wystąpił na cichej mszy św. odprowadzonej w kaplicy namiotowej w m. p. Dowództwa Armii. Przed ołtarzem stanęli oddziały kwatery głównej Armii oraz oddział PSK.

Przed odjazdem do swej kwatery gen. Sikorski zatrzymał się dłuższą chwilę przed oddziałem PSK. W rozmowach z ochotnikami Naczelnny Wódz interesował się żywo ich stanem zdrowia, warunkami życia, przeżyciami oraz losem ich rodzin.

Poniedziałek 7. VI.

### W KARPACKIEJ

Powitany przez dowódcę dywizji gen. Kopańskiego Naczelnny Wódz zapoznał się z programem ćwiczeń, a następnie szczegółowo oglądał doskonale zamaskowany punkt sanitarny, punkty ogniowe i obserwacyjne rozmawiając z żołnierzami.

W czasie ćwiczeń, polegających na natarciu poprzedzonym silnym ogniem artylerii gen. Kopański udzielał Naczelnemu Wódzowi wyjaśnień. Po zakończeniu ćwiczeń gen. Sikorski wyraził dowódcy dywizji swe uznanie.

W. S.



Naczelnny Wódz w towarzystwie generała Andersa rozmawia z żołnierzami

„ognisko” saperskie przy niezwykle pomysłowym i dekoracyjnym oświetleniu

Czwartek 3. VI.

### W DYWIZJI KRESOWEJ

W dzień Wniebowstąpienia Naczelnny Wódz przybył do miejsca postoju dywizji Kresowej, gdzie ks. biskup Gawlina odprawił mszę św. Po mszy ks. biskup Gawlina wygłosił podniosłe kazanie (obszerne sprawozdanie z kazania zamieściła prasa codzienna).

Do mikrofonu podchodzi Naczelnny Wódz. Po chwili głosiłki roznoszący słowa: „Żołnierze, pragnę jako Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych pozdrowić was serdecznie. Przekazuję wam również pozdrowienia najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych Prezydenta Rzeczypospolitej. Wasi koledzy, ci którzy się bili poprzednio we Francji i pod Narwikiem, dzielni marynarze, świetni lotnicy, którzy razem rozstawiali imię

względnego obowiązku, obowiązku najszlachetniejszego jaki zna ojczyzna, bo obowiązku żołnierskiego i dojdziecie do wolnej, niepodległej Polski. Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita!”

Z kolei zabrał głos gen. Bohusz-Szyszko.

Piątek 4. VI.

### ĆWICZENIA W KRESOWEJ

Inspekcję dywizji Kresowej zakończono w piątek ćwiczeniem hodojnym, w którym wzięły udział wszystkie oddziały dywizji. Ćwiczenia rozpoczęły się o godz. 3 w nocy. Naczelnny Wódz przybył na teren ćwiczeń o godz. 8 rano i obserwował je do samego końca, do godz. 18. Reportaż naszego korespondenta z tych ćwiczeń podajemy na str. 7.

Sobota 5. VI.

### W PUŁKU KAWALERII SAMOCHODÓW PANCERNYCH

Naczelnny Wódz obserwował ćwiczenia, w których pułk miał za z-

# NIEMCY NA UKRAINIE

Polityka niemiecka na zdobytej w roku 1941 Ukrainie wywołała liczne rozczarowania. Rozczarowania dla samych Niemców, gdyż nie zdołali oni dotychczas wyciągnąć z tej ziemi oczekiwanych ilości zboża i surowców oraz dla Ukraińców, którzy mogli żywić nadzieje, że nowi zdobywcy powołają przeciw jakimś „państwu ukraińskiemu”, lub co najmniej marionetkowy rząd ukraiński, złożony choćby z ludzi, którzy bądź byli wprost na żołądź Berlina, trzymający w rezerwie na wypadek wojny z Rosją, bądź reprezentowali politykę współpracy z Niemcami.

Atut ukraiński odgrywał od dość dawna niemałą rolę w stosunkach rosyjsko-niemieckich. Chowany w okresach przyjaźni, bywał rzucający przed Niemców na stół w czasie niepokojów lub wojen. W interesującej rozprawce, która ukazała się na łamach amerykańskiego kwartalnika „Foreign Affairs” autor (Joseph Joesten) przypomniał, że już Bismarck bawił się myślą o „niepodeległym księstwie kijowskim”. Marzenia te nie przyoblekły się jednak w rzeczywistość. Zawiodły następnie plany Wilhelma II w stosunku do Ukrainy, zawodzi obecnie plan Hitlera.

Pisząc o zagadnieniu zdobycia przez Niemców na Ukrainie żywności „Foreign Affairs” powołały się na obliczenia niemieckie ogłoszone 26 lutego 1942 roku we „Frankfurter Zeitung”, która ostrzegła, że „naród niemiecki nie może oczekiwać żadnych dodatkowych dostaw żywności z Ukrainy przed zakończeniem żniw w roku 1943”. Trudności transportowe i „głupie niszczenie” dokonywane przez cofające się wojska sowieckie wymieniono w publikacjach Rzeszy jako główne powody nie otrzymania dostaw. Na podstawie źródeł państw neutralnych można było stwierdzić, że eksploatacja zdobytej Ukrainy okazuje się trudniejsza niż w latach 1917-18 z powodu istniejącego tam systemu gospodarki sowieckiej. Dwie dekady kolektywizacji, a następnie zniszczenie wszystkich niemal traktorów i wycofanie z Ukrainy przez Rosjan kierowców i mechaników w ilości około 200.000 ludzi zrobiły swoje. Niemcy co prawda dostarczyli rolnictwu ukraińskiemu 4000-5000 traktorów i kilka tysięcy pługów, lecz brak paliwa uniemożliwia dostateczne wykorzystanie tych maszyn.

„Foreign Affairs” twierdzi, że Hitler popełnił w stosunku do Ukrainy ten sam błąd, co Wilhelm II: „sądził, że potrafi rządzić tą wschodnią kolonią z góry bez oparcia o naród. Nie uważał nawet za konieczne powołać tam paradii rządu. Nie usiłował przeciw ukrywać faktu, że postanowił odnosić się do Ukrainy, jak do kraju niewolniczego: cała praca dla tubylców, wszystkie zyski dla zdobywców”.

Pismo amerykańskie przypomniało, że przed wojną hitlerowcy wyznawali inne teorie. Wysuwali program „oswobodzenia Ukrainy”, utworzenia z niej „niezawisłego państwa”, przywrócenia prawa własności. Liczni antysowieccy emigranci ukraińscy żywo popierali te ponętne dla nich plany. Wśród nich rolę rywalizujących z sobą przywódców odgrywali „hetman” Skoropadski i Andrzej Mielnik.

Stosunki Skoropadskiego z Niemcami, nawiązane w czasie poprzedniej wojny, były bardzo żywe. Wielu mogło sądzić, że hitlerowcy oprą swoje plany polityczne na Ukrainie

na nim, bądź na jego czterdziestoletnim synu. Tymczasem Niemcy rokowali nie tylko ze Skoropadskim, lecz również z Mielnikiem, który jako dawny współpracownik Petlury był antagonistą „hetmana”. W przededniu wojny niemiecko-sowieckiej gwiazda Mielnika zaczęła przyciemniać Skoropadskiego, który zbytnio zatracił feudalizm i konserwatywizm. W chwili wybuchu wojny „hetman” całkowicie zniknął z horyzontu i dziś nie wiadomo nawet, co się z nim stało. Na placu pozostawał Mielnik i stojąca za nim rozgłaszona Organizacja Ukraińsko-Narodowa (O. U. N.) o tendencjach mimo wszystko, w pewnych swych odłamach, ideowych.

Oprócz wszakże Skoropadskiego i jego ludzi oraz Mielnika i O. U. N. działała w Berlinie inna jeszcze grupa ukraińska, zwana „Prowid”. Otoczona świadomością tajemnicą, stała po prostu, zdaniem „Foreign Affairs”, na usługach sztabu niemieckiego, Gestapo oraz biura polityki zagranicznej, istniejącego przy centrali partii narodowo-socjalistycznej. W dniu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, 22 czerwca 1941 roku, „prowidowcy” zorganizowali w Berlinie wielką manifestację kolonii ukraińskiej, w której obwieścili powrót Ukrainy do zespołu państw europejskich pod kierownictwem „rewolucjonisty, bojowca i męża stanu płk Andrzeja Mielnika”. Tymczasem po tych szumnych zapowiedziach Mielnik do Kijowa nie dojechał. I on również zniknął ze sceny. Jeżeli Skoropadski był reakcyjny, Mielnik mógł się okazać zbyt politycznie niezależny. Dziś przebywa znowu we Włoszech, trzymany z kolei w rezerwie przez Mussoliniego. Bo i Włosi mieli swój plan w sprawie Ukrainy i dotarcia ze swymi wpływami do Morza Czarnego.

Niemcy potrzebowali na Ukrainie innych ludzi, wygodniejszych i używanych w każdym razie tak jak Mielnik idei państwa narodowego. Inne były bowiem plany Hitlera. Zamiast niepodległego państwa ukraińskiego powołał po prostu Komisarjat Rzeszy dla Ukrainy — „Reichskommissariat Ukraine”, na którego czele stanął „gauleiter” z Kiołewa Koch. Komisarjat ten wraz z identycznym urzędem dla „ziemi wschodnich” — „Reichskommissariat Ostland”, obejmującym swym zasięgiem państwa bałtyckie i Białoruś, podlegają bezpośrednio „Ministerstwu Rzeszy dla ziem okupowanych na wchodzie”, którym zawiaduje z Berlina Alfred Rosenberg. Również na czele wszystkich pięciu „dystryktów” ukraińskich w Zytomierzu, Kijowie, Nikołajewie, Dniepropietrowsku i Połtawie stanęli Niemcy. Najwyższymi funkcjami, do których dopuszczono Ukraińców, były stanowiska burmistrzów miast.

Natomiast przy Kochu zaczął działać jako główny jego doradca Aleksander Sewriuk, człowiek o burli-

wej przeszłości, zaprzeczony ostatnio całkowicie Niemcom. W ciągu 48 lat swego życia Sewriuk zdążył być obywatelem rosyjskim, ukraińskim, sowieckim, francuskim, a w końcu niemieckim. W dniu 9 lutego 1918 roku jako dwudziestoczteroletni działacz podpisał w imieniu „Rady ukraińskiej” odrębny pokój z Niemcami, który stał się podstawą traktatu brzeskiego. Później jako „Monsieur de Sewriuk” działał we Francji, gdzie przez jakiś czas wydawał pismo subsydiowane przez Sowjety. Poszukiwany następnie przez GPU i pozbawiony obywatelstwa sowieckiego uzyskał francuskie, by po jedenaście miesięcy przenieść się do Niemiec i zostać obywatelem Rzeszy, jako „Herr von Sewriuk”. W Niemczech wstąpił do partii narodowo-socjalistycznej i wszedł do sztabu Rosenberga. Mając takiego człowieka w zanadru Niemcy nie potrzebowały usług ambignego Skoropadskiego i krepującego Mielnika. Pierwszym zadaniem Sewriuka było zjednoczenie różnych organizacji ukraińskich. W roku 1940 Sewriuk zadania tego dokonał skupiając formalnie wszystkie dostępne organizacje ukraińskie pod kierownictwem berlińskiego „Prowidu”. Scalenie jego akcja objęła nawet, jak stwierdzają „Foreign Affairs”, potężną organizację ukraińską O. D. W. U., działającą w Stanach Zjednoczonych.

Giętki i nie wysuwający się na czoło Sewriuk przystąpił po zajęciu Ukrainy przez Niemców do organizowania ukraińskiej administracji cywilnej przy Komisarzu Rzeszy Kochu, ściągając na te stanowiska w okresie poprzedzającym przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny na woję Ukraińców z Ameryką, jak naprzykład Omeliana Senyka — Griebwskiego i Mikołaja Szyborskiego, którzy zresztą zostali w krótkim czasie zamordowani przez dywersantów. W dniu 27 grudnia 1941 roku Sewriuk sam stracił życie w tajemniczej katastrofie kolejowej między Berlinem i Warszawą.

Poza tymi nazwiskami do administracji niemieckiej na Ukrainie powołano zśród Ukraińców wyłacznie trzeciorzędne figury. Nie lepiej przedstawiał się skład „ukraińskiej separatystycznej konwencji”, którą zwołano do Zytomierza.

Administracja niemiecka na Ukrainie jest więc typu kolonialnego. Nagórnie wszystkie stanowiska obsadzone przez Niemców, na dole drobni urzędnicy ukraińscy sprawują pod kontrolą niemiecką skromną autonomię kulturalną i samorządową. Istnieje również sądownictwo ukraińskie złożone z sądów przysięgłych i jednego sądu apelacyjnego. Oczywiście sprawy, w które zamieszani są „Volksdeutsche”, jak i wojsko niemieckie są wyjęte z pod kompetencji tych sądów, podobnie jak i sprawy sądzone z artykułów przewidujących kary od 5000 rubli, lub dwu i pół lat ciężkich robót. Jak dotąd, Niemcy pozostawali w stanie prawie niena-

ruszonym dotychczasowy system rolni kolektywny, który jednak faktycznie przestał działać z powodu braku traktorów. Rozwija się natomiast znakomicie system rekultywacji. Dopiero w chwili dawania niniejszego artykułu do druku nadeszła wiadomość o uwłaszczeniu przez Niemców chłopów na Ukrainie i Białorusi.

Jeszcze jedną komplikację w życiu Ukrainy stwarza zamiar masowego ściągnięcia na jej tereny, podobnie zresztą jak na obszary państw bałtyckich i Białorusi, kolonistów z Holandii, Belgii i Danii w celu zakładania przez nich „wzorowych gospodarstw”. Mówi się o sprowadzeniu tą drogą 3 milionów Holendrów na wschód. Przeprowadzając ten plan Niemcy osiągnęłyby dwa cele: osłabiłyby znacznie potencjał ludnościowy tych wrogich względnie niechętnych im narodów na zachodzie, z drugiej strony koloniści ci, skoro tylko znaleźliby się na wschodzie, musieliby przedzierzgnąć się z wrogów Rzeszy w ludzi szukających w niej oparcia przeciw miejscowemu żywiolowi ukraińskiemu. Cudzymi rękami udałoby się zatem Niemcom skolonizować Ukrainę i Białoruś, czego własnymi siłami chłopskimi nie mogliby już przeprowadzić. Sił tych starczyłoby bowiem zaledwie na jakie takie i to bardzo problematyczne skolonizowanie Polski, Czech, Francji i Jugostawii.

Plan niemiecki mierza więc do następującego ustroju Ukrainy: na dole miliony tubylczych niewolników pracujących dla „herrenvolku”, w środku warstwa „wzorowych” gospodarzy holenderskich, belgijskich czy duńskich, szukających z musu oparcia w Niemcach, na górze cienka kadra niemieckich wielkorządców. Ukraina i ów Ostland, zbudowane w ten sposób, tworzyłyby podobnie jak Dania i Flandria z ludnością zmniejszoną do połowy rodzaj „obszarów buforowych Rzeszy”. „Foreign Affairs” zakończyły swe wywody zdaniem: „trudno się dziwić, że naród ukraiński, a nawet ta jego część, która zachowała w ustach gorczyz po bolszewickim systemie, wykazuje nieznaczną ochotę współpracy z Kochem. Nie potrzeba być prokiem, by przewidzieć, że takie państwo niewolnicze, jakie Hitler chciałby ustanowić na Ukrainie, nie będzie mogło działać”.

Polityka Niemców w stosunku do Ukraińców jest połowiczna i nieszczerza. Państwa ukraińskiego nie utworzyli, ograniczając się do udzielenia Ukrainom nieznaczącej autonomii kulturalno-samorządowej. Nie szukali oparcia w elementach ideowych, czy też w autorytetach politycznych, woleli bowiem posługiwać się marionetkami od siebie pod każdym względem uzależnionymi. Obecnie tworzą co prawda oddziały ukraińskie (a także odrębne „galicyjskie” w Małopolsce), lecz nie są one, jak się zdaje, podporządkowane Reichswehrze, lecz organizacji SS czyli partii, co z góry określa ich charakter raczej polityczny i policyjny, niż wojskowy.

Ostrożność Rzeszy w stosunku do zagadnienia ukraińskiego — co okazać się może dużym błędem z punktu widzenia polityki niemieckiej — dyktowana jest zapewne z jednej strony niepomahomawą zaborczością Niemców, która przyciemnia im stale zdolność politycznego myślenia, a z drugiej strony świadczy, że w swej polityce na wschodzie Niemcy za-

## SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

JEŻELI MILCZĄC PATRZĄ WSZYSCY NA TRAGICZNE WIDOWISKO ZAPASÓW NASZYCH, NIECH SIĘ UCZĄ, JAK WZNIOSŁE LUD, BOSKIM OGNIEM NATCHNIONY, NAD PRZEZNACZENIE WYŻSZY, MOŻE POLEC, ALE NIE ULEGNIE.

Kazimierz Brodziński. „Mowa o narodowości Polaków”

(Dalszy ciąg na str. 5)

# Aktualność „Karty Atlantyckiej”

W chwili ogłoszenia Karty Atlantyckiej nikt w świecie nie przypisywał jej tego zasadniczego znaczenia, jakiego w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nabrała. Anglia uchodziła w tym czasie za obrońcę przedwojennego status quo. Jako narzędzie mobilizowania świata przeciwko hitleryzmowi, Karta Atlantycka była więc właściwie „drugim grzybem w barszcz” — jej postanowienia brzmiały jak truizmy, nieco zbyt idealistyczne i jak gdyby platoniczne, ale w gruncie rzeczy wszyscy widzieli w nich po prostu banały. Dla rządów i opinii krajów zainteresowanych Karta Atlantycka formułowała postulat powrotu do status quo i złożenie pod nią podpisu było czczą formalnością.

Wielką rolę Karty Atlantyckiej widziano przede wszystkim w jej wpływie na — doktrynerską jeszcze wówczas — opinię Stanów Zjednoczonych. Prezydent Roosevelt związał się tu po raz pierwszy z wielkim mocarstwem wojującym i pragnął pokazać Amerykanom, że gra idzie o ideały, które dla przeciętnego Amerykanina mają wartość dogmatów. Karta Atlantycka miała ułatwić Rooseveltowi wciągnięcie Stanów Zjednoczonych do wojny.

Oceniana od strony taktycznej, Karta Atlantycka powstała jako narzędzie: 1. zmobilizowania świata (a także narodu niemieckiego) przeciwko totalizmowi hitlerowskiemu, 2. zdobycia Ameryki dla interwencjonizmu Roosevelta i wreszcie 3. związania rewolucyjnej bądź co bądź Rosji Sowieckiej. Ten ostatni motyw był w chwili powstania Karty Atlantyckiej najmniej widoczny: w tym czasie (sierpień 1941) Rosjanie znajdowali się w pełnym odwrocie i nie nie zapowiadało, że staną się czynnikami, któregoś aspiracje będą utrudniały planowanie powojenne. Dziś jednak wiadomo, że anglosascy mężowie stanu liczyli się już wówczas z długim oporem sowieckim.

Minęło zaledwie kilkanaście miesięcy, a zbiór płytych komunałów stał się niemal rewolucyjną proklamacją. Zainteresowała się Kartą Atlantycką nawet propaganda niemiecka i odgąd nie przestała się na nią powoływać. Oczywiście, nie w tym sensie, by wykazywać, że właśnie Niemcy ją realizują — choć ostatnie oświadczenia niemieckie nie są dalekie od takiego cynizmu. Z początku Niemcy zadowalali się wykazywaniem, że np. polityka brytyjska wobec Indii jest sprzeczna z Kartą Atlantycką. Propaganda niemiecka nie mówiła tego — rzecz jasna — z oburzeniem. Stwierdzenia te miały charakter suchej perfidii. Ale co dr Goebbels konstatował, to p. Subhas Chandra Bose, hinduski przywódca p. Ribbentropa — przekuwał w swoich przemówieniach radiowych na sztylety rewolucyjnej demagogii.

Obecnie jesteśmy świadkami nowej Karty Atlantyckiej: Swiety powołują się na nią, by uzasadnić swoje aspiracje do wschodnich ziem Polski, a Polska powołuje się na nią, by uzasadnić swoje aspiracje do przedwojennego status quo.

Propaganda niemiecka — jak zwykle czynna i skwapliwie intrygancka — wyszukuje ten spór, by dowodzić raz jeszcze, że Anglia uważa Kartę Atlantycką za świstek papieru, skoro nie broni Sowiетom łamania zawartych w niej postanowień.

Niewątpliwie, Karta Atlantycka nie jest tylko potwierdzeniem przedwojennego status quo mimo, że postanawia iż „ani Stany Zjednoczone

ani W. Brytania nie mają żadnych ambicji terytorialnych ani też nie dążą do jakiegokolwiek innej ekspansji” oraz, że „oba kraje pragną, aby prawa suwerenne i niezawisłość przywrócone zostały wszystkim krajom, które zostały pozbawione tych praw”. Równocześnie bowiem Karta Atlantycka postanawia, że St. Zjednoczone i W. Brytania „pragną, aby nie doszło do żadnych zmian terytorialnych, które nie byłyby w zgodzie ze swobodnie wyrażoną wolą zainteresowanych narodów” oraz, że „ponieważ nie może być mowy o utrzymaniu pokoju w przyszłości, jeżeliby zbrojenia lądowe, morskie i powietrzne służyły dalej narodom, które zagrażałyby lub mogłyby zagrażać w przyszłości innym aktami agresji poza swymi granicami, Anglia i Ameryka uważają, że... należy przeprowadzić rozbrojenie tego rodzaju narodów”.

Postanowienia te nie wyłączają zmian terytorialnych w stosunku do przedwojennego status quo, jeżeli zmiany te będą zgodne ze swobodnie

wyrażoną wolą zainteresowanych narodów, a przewidują wyraźnie pozbawienie pełnej suwerenności nie tylko narodów, które zagrażały innym agresją (tj. obecnych wrogów sprzymierzonych), ale także narodów, które mogłyby w przyszłości zagrażać innym narodom aktami agresji.

Z późniejszego oświadczenia min. Edena dowiedzieliśmy się, że do tej grupy narodów należą wszystkie narody poza Amerykanami, Anglikami, Rosjanami i Chińczykami, gdyż tylko te narody mają mieć przywilej (czy obowiązek) utrzymywania także po wojnie sił zbrojnych mogących interweniować przeciwko wszelkim napastnikom i gwarantującym w ten sposób spokój w świecie. Dla złożeń tego aktu pozbawienia wielkiej liczby narodów części suwerenności, Karta Atlantycka przewiduje powołanie do życia „powszechniejszego i trwalszego systemu bezpieczeństwa zbiorowego”, a także „wprowadzenie poza tym wszelkich zarządzeń praktycznych, któreby zmierzają do zdjecia z bark narodów

## P. PREZYDENT R. P. I NACZELNY WÓDZ DO KRÓLA JERZEGO VI



LONDYN, 4.VI. (PAT). Pan Prezydent Rzeczypospolitej wystosował w dniu 2 czerwca następującą depeszę do króla W. Brytanii Jerzego VI:

Z okazji dnia urodzin Waszej Królewskiej Mości, pragnę przesłać w imieniu własnym jak i całego narodu polskiego najszczerze i najgorętsze życzenia W. Królewskiej Mości osobiście oraz życzenia pomyślności dla wszystkich narodów brytyjskich. Wobec ostatnich tak wybitnych zwycięstw nad wspólnym wrogiem i naszymi, towarzyszącemu uroczystemu dniu tym większą ufność i zdecydowaną wolą wszystkich zjednoczonych narodów doprowadzenia wojny do szybkiego końca oraz spo-

tegowana pewność, że znacznie bliżej jesteśmy dnia zwycięstwa.

WL. RACZKIEWICZ

Ze swej strony Naczelnny Wódz general Sikorski wysłał następującą depeszę:

W imieniu Polskich Sił Zbrojnych i moim własnym, mam zaszczyt przesłać Waszej Królewskiej Mości najserdeczniejsze i najlepsze życzenia. Niechaj ostatnie wspaniałe sukcesy Sił Zbrojnych W. Brytanii i naszych aliantów, przyniosą w bliskiej przyszłości decydujące zwycięstwo oraz ustanowienie swobody, wolności i sprawiedliwości dla wszystkich krajów wielkich i małych.

WL. SIKORSKI

miłujących pokój miążdzącego ciężaru zbrojeń”.

Mniejsza o to, czy oświadczenie min. Edena, złożone oficjalnie w Izbie Gmin i przychylnie przyjęte przez opinię brytyjską oraz amerykańską, jest w pełni zgodne z duchem cywilizacyjnych postanowień Karty Atlantyckiej. Nie będziemy tego oświadczenia uważali za ostateczne rozstrzygnięcie sprawy, kto ma być po wojnie rozbrojony. Ale warto zastanowić się, jakie są głębsze intencje owych postanowień Karty Atlantyckiej. Jej autorom przyswiewcał niewątpliwie ideał świata, w którym nie prowadzić się wojen, a co najwyżej wysła się ekspedycje karne przeciwko agresorom. Tak też opinia anglosaska rozumiała jeszcze w r. 1941 obecną wojnę: jest to ekspedycja karna przeciwko agresorom faszystowskim. Tymczasem i w opinii anglosaskiej dokonał się w tym względzie pewne zmiany. Wojnę obecną nazywa się coraz częściej „wielkim przełomem”, a nawet „wielką rewolucją”.

Czyżby więc Karta Atlantycka była po prostu utopia? Aby sobie to wyjaśnić, zobaczymy co zawiera reszta postanowień tej proklamacji. Wielkie Demokracje „będą starały się, aby wszystkie państwa mogły w pełni i na równych warunkach korzystać z możliwości prowadzenia handlu oraz z dostępu do surowców na świecie, niezbędnych dla ich pomyślności gospodarczej, bez względu na to, czy to są państwa wielkie czy małe, zwycięskie czy zwyciężone”. Cel ten ma być osiągnięty na drodze „ściślej współpracy wszystkich narodów w dziedzinie gospodarczej”, co ma doprowadzić do „zapewnienia we wszystkich krajach wyższego poziomu życia warstw pracujących i postępu w dziedzinie społecznej”. Pokój, który „po ostatecznym, zniszczeniu tyranii hitlerowskiej mają nadzieję utrwalić Anglia i Ameryka, a który zapewni wszystkim narodom dostateczne bezpieczeństwo, aby mogły dalej prowadzić pracę twórczą w swych granicach i który zapewni wszystkim obywatelom wszystkich krajów możliwość egzystencji, wolnej od biedy, niedostatku i obaw” — pokój taki powinniśmy „pozwolić na swobodne poruszanie się wszystkich obywateli bez przeszkód po morzach i oceanach”.

Z postanowień tych wylania się wizja świata, który byłby ulepszonego świata z przed r. 1914. Wolny handel, wolność mórz, a przy tym ograniczenie zbrojeń, ulepszone usta wodawstwo socjalne, samostanowienie narodów i ścisła współpraca gospodarcza. Takie są zamierzenia Anglii i Ameryki wg postanowień Karty Atlantyckiej, ogłoszonej w sierpniu 1941.

Czy to jest utopia, czy rewolucja, czy zbiór komunałów? Odpowiedź na te pytania musiałaby być czysto teoretyczna. Ekonomisci, prawnicy, socjologowie i historycy mieliby zapewne wiele do powiedzenia na ten temat. Wielu z nich zarzuciłoby prawdopodobnie tym idealom, że są trudne do wprowadzenia w życie, niektórzy powiedzieliby nawet, że są utopijne. Ale czy znajdzie się ktokolwiek, który z czystym sumieniem mógł powiedzieć, że — gdyby taki porządek w świecie był możliwy — nie życzyłby go sobie? Nie, z całą stanowczością musimy powiedzieć, że cele, jakie sobie Anglia i Ameryka postawiły w r. 1941 są piękne i szlachetne, że wszyscy pragniemy, by Anglia i Ameryka cele te osiągnęły: że gotowimy im w tym dopomóc.

Mieczysław Roman

tygodniowy

## PRZEGLĄD WYDARZEŃ

ZPH



CISZA PRZED BURZĄ nazwał marsz. Smuts obecną sytuację wojenną. Cisza wyraża się w zupełnym niemal zastoju w walkach na froncie rosyjskim, gdzie jedynie lotnictwo obu stron okazuje żywszą aktywność oraz w przerwie w działaniach na zachodzie, gdzie wyłącznie Włochy są celem dalszych groźnych nalotów sojuszników. Pantellaria, Sycylia, Sardynia, Neapol, port w Spezii, gdzie bombardowano trzy największe włoskie pancerniki oraz inne włoskie okręty wojenne, spotkały się z głównymi natarciami powietrznymi sojuszników. Ponadto wymaga się ofensywną działalność floty brytyjskiej u brzegów włoskich. Pantellaria była już wielokrotnie ostrzelana przez angielskie okręty, a brytyjskie łodzie podwodne rozwinęły ożywioną działalność na wodach między Półwyspem Apenińskim a Sardynią i Korsyką, przy czym po raz pierwszy w tej wojnie ostrzeliwały lotniskowo Calvi na okupowanej przez Włochów Korsyce. Brytyjskie okręty podwodne zapuszczały się aż po Genewę i Monte Carlo.

Działalność ta ma charakter przygotowawczy do większych operacji. Włosi wyrażają publicznie przypuszczenie, że Pantellaria będzie pierwszym celem wypadu sojuszników, a Mussolini uznał za wskazane zwrócić się z apelem do garnizonu tej wyspy, by stawiał czoła ewentualnej inwazji. Flota włoska otrzymała rozkaz, by każdej chwili była gotowa do wystąpienia. Mussolini ma oczywiście wiele powodów do trosk i obaw.

W DNIU 5 BM. PREMIER CHURCHILL powrócił do Londynu z podróży do Ameryki. W drodze powrotnej premier odwiedził Gibraltarr, a stamtąd udał się do Algieru i Tunisu. W tym czasie uczestniczył w naradach z dowódcami amerykańskimi i brytyjskimi w Afryce północnej. Jedną z tych narad odbyła się w Gibraltarrze. Premier spotkał się następnie w Algierze z min. Edcnem i razem z nim przeprowadził rozmowy z gen. de Gaulle i gen. Giraud, którzy właśnie dochodzili do porozumienia. Ponadto udał się do Tunisu, by odwiedzić zwyciężkie wojska.

Ponieważ premierowi Churchillowi towarzyszył szef sztabu amerykańskiego generał Marshall, rozeszły się w brytyjskich i amerykańskich kołach pogłoski, że będzie on wyznaczony na głównodowodzącego w operacjach inwazyjnych, które będą przeprowadzone w kregu Morza Śródziemnego. Wojska amerykańskie wezmą w nich znacznie większy udział niż w dotychczasowych działaniach afrykańskich.

JAKIE SĄ PLANY SOJUSZNIKÓW, tego się nie dowiemy. Niemcy jednak muszą oczekiwać uderzeń w wielu bardzo punktach. Ta niepewna sytuacja i przedłużająca się „wojna nerwów” może ich skłonić do różnych decyzji.

W innych okolicznościach Niemcy myśleliby może o zaskoczeniu sojuszników jakimś sensoryjnym uderzeniem. Ruszyliby być może na Turcję, lub Hiszpanię. Zwłaszcza teren hiszpański nadawałby się prawdopodobnie do dywersji ze względu na prosiowe sympatie sfer rządowych. Wiadomości, jakie nadeszły z mie-

dzynarodowej strefy Tangeru o demonstracjach antybrytyjskich w tym mieście, nie świadcza dobrze o nastrojach panujących w niektórych odłamach tego neutralnego kraju.

Z drugiej jednak strony jeden z wiceministrów hiszpańskich Carrero oświadczył, że Hiszpania nie będzie mogła prowadzić wojny, dopóki nie będzie miała zapewnionego minimum komunikacji morskich. Poniom wielkich strat — dodał wiceminister — W. Brytania stanęła panuje na morzu. Fakt ten powinien rozstrzygać o stanowisku Hiszpanii. Czyżi on również ewentualny wypad „osi” w kierunku Półwyspu Pireńskiego niezmiernie ryzykowny.

Może zatem „os” ograniczy się do ogólnej defensywy. Ciekawe uwagi ukazały się na ten temat w „The Iraq Times”, który zwrócił uwagę na charakterystyczny nacisk, z jakim Niemcy zaczęli tłumaczyć, że również na froncie wschodnim ograniczą się do obrony. Niedawno niemiecki rzecznik wojskowy gen. Dietmar wywołał, że w świetle obecnej sytuacji wojennej zagadnienie sprawdza się nie do pytania, kto może uderzyć, ale kto musi uderzyć. Uderzyć według niego muszą alianci, gdyż stoją przed zagadnieniem „co dalej?”.

GŁOSZENIE PRZEZ NIEMCÓW HASEL DEFENSYWNYCH może mieć na celu wprowadzanie w błąd przeciwników, z drugiej jednak strony może być dowodem, że armia niemiecka, jeszcze niezmiernie potężna w obronie, zatraciła na razie siłę ofensywną i dlatego woli czekać na uderzenie i wykrwawienie się sojuszników, by następnie dopiero przystąpić do kontrataki. Wszystko może być też bluffem mającym przekonać mocarstwa anglosaskie, że Niemcy nie zamierzali myśleć o ofensywie w Rosji, gdyż wzmocnili obronę Europy zachodniej. Obecna dyslokacja wojsk niemieckich jest podobno następująca: na wschodzie 190 dywizji niemieckich i 28 dywizji państw zwalczanych, we Francji, Belgii, Holandii, Norwegii — 45 dywizji, na Bałkanach — 10, a 50 jako odwody w Niemczech i w Polsce. Wreszcie ponad milion ludzi służy w lotniczej służbie lądowej i w organizacji Todta (inżynieria wojenna). Czy Niemcy mogą w tym rozkładzie poczynić poważniejsze zmiany, których by Rosjanie nie zauważyli i nie wykorzystali?

Od chwili wybuchu wojny Hitler nie stał przed tak poważną decyzją, jak obecnie. Mając nie rozwiązana sytuację na wschodzie musi coraz poważniej brać pod uwagę gromadzące się siły sojuszników na zachodzie oraz wzrastający nacisk wywierany przez nich na oszołomione Włochy, których obrona kosztuje lotnictwo niemieckie nadmiernie wiele. Najbliższe tygodnie, a nawet może dni wyjaśnią, kto w tej sytuacji podjęnie pierwszy inicjatywę.

PRZED ROZPOCZĘCIEM WSZAK- ZE WIEKSZEJ INWAZJI ALIANKIEM na Europie W. Brytania i Stany Zjedn. będą chciały dojść do jasno zatysowanego porozumienia politycznego z Rosją. Tego zdania jest „New

York Post”, które wyraziło opinię, że oba mocarstwa anglosaskie przed podjęciem ofensywy będą chciały ustalić, jaki jest stosunek Rosji do Europy, a m.in. do Polski. Wspólna ofensywa sprzymierzonych na Niemcy musi dać wspólne, a nie jednostronne zwycięstwo i wspólne, a nie jednostronne korzyści. Nie może być jednak zwycięzca, który zapewni sobie wszystkie zyski, nawet kosztem sprzymierzeńców, pozostawiając innym sojusznikom szlachetną rolę współników składających ofiary na ołtarzu wątpliwego pokoju.

Ostatnio namnożyły się bowiem zbytnio różnych międzynarodowych czynników, którzy doszli do oryginalnego wniosku, że do roli wiecznego ofiarnika nadaje się szczególnie Polska. Pewni speculanci polityczni domagają się od niej coraz to innych poświęceń to w jednym, to w drugim kierunku, to na rzecz wojny, to na rzecz pokoju. Dlatego, że Polska ze wszystkich okupowanych krajów dała i daje świadomości oraz z poczucia obowiązku wobec swej przyszłości największe ofiary, niektórzy sądzą, że od tego zacnego narodu wydobędą również ofiary dla siebie. Z pretensjami do polskiej ofiarności wystąpił ostatnio niektórzy pozbawieni poczucia proporcji politycy czescy. Z zadowoleniem stwierdzamy, że rząd brytyjski odciął się od tej mało ciekawej kampanii.

Wicepremier Atlee oświadczył w Izbie Gmin, że rząd brytyjski nie zwróci się do rządu polskiego o wyrażenie się Zaolzia na rzecz Czechosłowacji, choć gotów jest ofiarować swe dobre usługi w sprawie dopełnienia układów polsko-czeskich o federację, które zostały przez Czechów „zawieszono”, jak i w spornych sprawach granicznych. Odpowiadając poza tym na pytanie, czy Polska powinna otrzymać Prusy Wschodnie, wicepremier odrzekł, że te sprawy powinny być zastawione zainteresowanym rządom, nie wymienił wszakże, jakie rządy ma na myśli.

PAPIEŻ PIUS XII w przemówieniu do kardynałów inaczej niż niektórzy Czesi njął zagadnienie Polski. Wskazał on na nią jako na symbol narodów szczególnie w tej wojnie upośledzonych. Polska, mówił, która „wniosła tak wielki wkład umysłowy i duchowy do dziedzictwa Europy i świata” winna osiągnąć podobnie jak i inne narody „swą przyszłość w zgodzie ze swymi uprawnionymi dążeniami i wielkością swoich poświęceń w Europie odnowionej na podstawach chrześcijańskich i wśród narodów wolnych od błędów i wąhań przeszłości”.

Amerkański podsekretarz stanu Sumner Welles stwierdził niemal jednocześnie, że przyszła organizacja świata musi m.in. oprzeć się na zasadzie równych praw suwerennych dla wielkich i małych państw.

Czy ta podstawowa rekojmia trwałego pokoju została uznana w odpowiedzi Stalina do prezydenta Roosevelta? Odpowiedź ta nie została ujawniona, natomiast prezydent stwierdził, że „porozumienie między nim a Stalinem jest zupełne”. Najbliższe wydarzenia wykażą, w czym się ono wyrazi.

NA RAZIE DOSZŁO DO CHARAKTERYSTYCZNEGO KOMPROMISU na odcinku francuskim. W

Algierze powstał nie tyle rząd tymczasowy, co Francuski Komitet Ośwobodzenia pod przewodnictwem gen. Giraud i gen. de Gaulle. Do komitetu wchodzi gen. Catroux, który pogodził obu generałów, a dalej z ramienia gen. Giraud — gen. Georges, b. zastępca naczelnego wodza Francji Gamelina oraz p. Monnet, a z ramienia gen. de Gaulle: b. współpracownik Brianda — Massigli i socjalista p. Philip. Ponadto mianowano komisarzy (ministrów) dla poszczególnych resortów.

Komitet będzie rozciągał władzę suwerenną nad wyzwolonymi koloniami Francji. Zobowiązał się on przekazać władzę tymczasowemu rządowi francuskiemu po ośwobodzeniu całej Francji, przywrócić prawa Trzeciej Republiki i usunąć ustawodawstwo Petaina oraz poświęcić się całkowicie walce z „osią”. Dniesiono również, że gubernator Algieru i główny doradca polityczny gen. Giraud — Peyrouton oraz przedstawiciel Francji w Maroku gen. Nogues podali się do dymisji na życzenie gen. de Gaulle.

Świadczą o tym wzroście wpływów gen. de Gaulle, który popierany jest głównie przez radykalne odłamy ludności Algieru i lewicowe stronnictwa polityczne. Gen. Giraud, który skupił dookoła siebie czynniki reformistyczne i antykomunistyczne ma za sobą wojsko i administrację, lecz gen. de Gaulle domaga się podobno dalszych ofiar m.in. poświęcenia gubernatora Afryki Zachodniej p. Boisson. Prasa angielska nie ukrywa, że są jeszcze duże trudności na drodze do całkowitego porozumienia. Chodzi tu bowiem nie tylko o załatwienie sporu między generałami, ale o przyszłość Francji, o to, czy zwyciężą w niej pierwiastki odrodzeńcze, czy też powróci ona do starych nawyków i błędów.

O REWOLUCJI W ARGENTynie, która jeszcze nie wygasła, będzie można wypowiedzieć się po ustabilizowaniu się tam rządów.

D. I.

## CZY WIECIE, ŻE...

Ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii przeleciał przez Atlantyk największy z dotychczasowych transport samolotów, nie ponosząc żadnych strat. Jednocześnie ogłoszono, że produkcja miesięczna samolotów w Stanach Zjednoczonych wyniosła w marcu 6.200 maszyn, a w następnych miesiącach przekroczy 7 tysięcy.

Ostatnio nadeszła wiadomość o wypuszczeniu przez fabryki amerykańskie statystycznego samolotu od czasu podjęcia wojennego programu produkcji.

Zostały wyprodukowane nowe typy samolotów pocigowych „Tajfun”. Osiągają one szybkość 630 km na godz. i mogą dogonić najszybsze samoloty niemieckie Focke-Wulf. Są one zaopatrzone w cztery silniki lub 12 km.

Nowe typy latających Fortec zabierają mogą ze sobą 10 tysięcy kilogramów bomb zamiast jak dotąd 4 tysiące.

# Dywizja Karpacka przerywa front

Gdy to piszę, kolumny zmotoryzowanej piechoty, artylerii, saperów, wracają z pola. Zawszad słychać monotonny pomruk silników, a długie wstęgi kurzu znaczą drogę. Kolumny wracają do miejsca postoju dywizji Karpackiej.

Mamy za sobą największe ćwiczenie dywizyjne. Było ono ukoronowaniem całorocznej wytyżonej pracy, było — że użyjemy tego porównania — próbą generalną dywizji przed wymarszem na front.

Ćwiczenie polegało na tym, że dywizja w pełnym swym składzie wyruszyła z miejsca postoju, przebyła marszem zmotoryzowanym drogą dzielącą ją od nieprzyjaciela, a następnie po przyjęciu odpowiedniego ugrupowania wykonała natarcie na silnie umocnione stanowiska w niezwykle trudnym terenie. Ponieważ pas natarcia był szczególnie wąski, mieliśmy w zmniejszonej skali pokaz przebiecia frontu przez uderzenie na wybrany punkt, operację niezwykle popularną w bieżącej wojnie.

Aby oszczędzić cierpliwości czytelnika zakładamy, że marsz zmotoryzowany już się odbył. Kolumny koncentrycznie zjechały na oznaczoną oś, po czym rozszarpały się w terenie.

Jesteśmy na wschód od N. Jutro rano dywizja wykona uderzenie. Oddziały gotują się do przejścia na podstawę wyjściową. Z zapadnięciem zmierzchu z jarów i fałd terenowych wysuną się kolumny zmotoryzowane, z minutową dokładnością wjadą na główną oś, którą stanowi szosa, po czym w oznaczonym punkcie, również z dokładnością co do minuty, rozjadą się promieniście, każda na oznaczone z góry miejsce.

Zaraz za N. napotkamy pierwsze samochody dywizyjne — a właściwie na ostatnie. Są to bowiem najdalsze odwoły. Oddziały czołowe znajdują się już daleko w przodzie. Mijamy rozrzuconą szeroko i umiejętnie za maskowaną kwaterę główną dywizji, punkty zaopatrzenia w benzynę, w żywność, punkt zborny jeńców odstawionych z pola walki, ciężkie warsztaty reperacyjne. W miarę posuwania się do przodu dostrzegamy coraz więcej elementów bojowych. Po siedmiu kilometrach osiągamy miejsce postoju sztabu. Sam dowódca wraz z najbliższymi oficerami jest na wysuniętym punkcie obserwacyjnym. Tutaj, na miejscu pozostał szef sztabu oraz główny nerw łączności dywizyjnej — wóz dowodzenia. Czytelnicy nie wezmą mi za złe, że zaproszę ich na krótką wizytę do tego

ze wszech miar interesującego pojazdu.

Wóz posiada dwa przedziały. Jeden z nich zajmuje silna radiostacja przynajmniej meldunki od wszystkich oddziałów i wysyłająca wszystkich oddziałom rozkazy. W sąsiednim przedziale, gesto „wytapetowanym” mapami pracują oficerowie operacyjni. Jest to stanowisko, gdzie można otrzymać najświeższe wiadomości o działaniach wprost z pola walki. Pracujący tu oficerowie trzymają rękę na potężnym pulsie dywizji. Z napływających poszczególnych meldunków odtwarzają oni całość działania.

Zaraz za rzutem dowództwa sportrzegamy pierwsze baterie artylerii. Późniejszy rzut oka wystarczy, aby

godzinach. Od siódmej ruch na osi głównej zamiera. Powoli zapada noc, głucha, bczkniejąca. Z ciemności wyłania się pierwsza kolumna, za nią druga, następna. Wozy suną cicho i powoli.

Pierwszy człon wjeżdża na szosę o oznaczonej minucie. Pilot posuwa się z szybkością 10 mil/godz. (16 km). Odległość między wozami zmniejszona. Każdy samochód zaopatrzony w „wypatrywacza”. Leżąc na skrzydle śledzi on bacznie poprzedzający pojazd i udziela wskazówek kierowcy.

Jadą kolumny jedna, druga — wszystkie w porządku i na czas. Na końcowym punkcie rozjeżdżają się, każda w swoją stronę. O 1 rano wszystkie są na stanowiskach. Do wozu dowodzenia zaczynają napływać

armatni, a w chwili później pociski dział miocą podnóża rozpościerającego się przed nami rozległego grzbiętu. Moździerz kładą zastłonę dymną i zaraz potem wysuwają się z rozpadlin i fałd kolumniki piechoty. Strój czyni je ledwo dostrzegalnymi dla oka. Brygady posuwają się naprzemian, artyleria wspiera w czasie ruchu to jedną to drugą, kładąc ogień na stanowiskach nieprzyjaciela.

Raz puszczona w ruch machina wojenna prowadzi nieubłagane swe dzieło. Biała rakietka wystrzelona do góry oznacza, że linie czoł npla opanoowano. Sunące w wąskim pasie brygady rwą do przodu niszcząc wszelki opór.

Praca artylerii wzbudza podziw. Na rozkaz kierownika ćwiczenia — gen. Kopańskiego, płk. Ł. dowodzący dywizją kieruje ogień na jeden punkt. Widok jest wspaniały w swej grozie. Pociski ogniskują się na wąskiej przestrzeni. Jest nią fragment podnóża stoku, który pokrywa się nagle obłokami wybuchów.

Dym zmieszany z kurzem wyrwanej ziemi przeobraża się w ogromną chmurę, którą wiatr wyolbrzymia i unosi coraz wyżej.

I znów ogień artylerii rozpada się z powrotem na poszczególne cele. Piechota posuwa się wciąż dalej i dalej. Z płomienistego nieba Iraku leje się bezlitosny żar, teren jest kamienisty, stromy, pokryty koczastymi cierniami i ostami, pragnienie doskwiera, lecz żołnierz idzie. Ten ogień, to zajadle granie ckmów, te szeroko rozciągnięte zagony wojska stwarzają nam wizję chwili, dla której wygobacal swą wiedzę żołnierską i hartował mięśnie, na którą czekał od czterech lat, chwilę rozprawy z wrogiem, chwilę wielkiej odpłaty.

Wyglądamy wszyscy zielonej rakietki, znaku opanoowania pierwszej linii przez nasze oddziały. Artyleria prowadzi ogień według „rozkładu jazdy” przerzucając się stopniowo na cele coraz dalsze. Gdzieś o 12.30 zielone światło błyska przed nami i gąśnie — znak, że pierwsze bastiony wroga wzięte! Natychmiast wypelzają ze swych skrytek przysadkowane carryery i jadą na zdobytą linię. Przesuwa się również do przodu artyleria, jadą saperzy, aby minować teren.

Dla żołnierza piechoty rozpoczyna się teraz praca najcięższa — natarcie pod strumą górę Czołowe baony po spełnionych trudach pozostają na stanowiskach, a na czoło wychodzą baony odwołowe.

My z czytelnikiem znajdujemy się oczywiście w pierwszej linii i obserwujemy przechodzące kolumniki. Idą cicho, spokojnie, każdy żołnierz zna swoje miejsce i zadanie. Radiostacje kompanijne, sprawujące z daleka wrażenie starożytnych aparatów fotograficznych w zakładach na prowincji, pracują niezawodnie. Zamieniamy kilka słów z oficerami oddziałów czołowych. Wszyscy zmęczeni, lecz w doskonałych humorach.

D. S.

Wydział Propagandy i Oświaty A P W prosi wszystkich drukarzy:

Z E C E R Ó W,  
MASZYNISTÓW  
i NAKŁADACZY

o podanie swych adresów wraz z krótką wzmianką o miejscach zatrudnienia przed wojną.

Wiadomości należy kierować do Drukarni Polowej A P W — Polish Forces Paiforce 58.

## T A M K W I T N ą S A D Y . . .

Tu kwitną oleandry, a tam w Polsce sady przywdziały swą odświętną sukienkę kwiecistą. Połączyły się wdzięcznym druhen korowodem grusze i wiśnie smukłe, bielą uroczyste.

Tu, ku niebu strzelają meczetów wieżyce, a tam na dróg rozstajach kapliczki i krzyże — lecz przy nich Chrystus czasem strudzony odpocznie i smutna Matka Boska cichutko się zbliży.

I jak dawniej, na łąkach kaczęciami złotych, lśnią się rosy o świcie — jeno bardziej łązawe... A gdy lato słoneczne wykołobie lany, zakwitną maki w zbożach — jeno bardziej krwawe.

J. Królikowska

stwierdzić, że to nie karpacka. To artyleria ciężka. Wyjątkowo na to ćwiczenie przydzielono nam dywizjon ciężkich dział angielskich. Patrzymy z podziwem na olbrzymi sojuszników — trochę nawet z zazdrością.

Ale czas w dalszą drogę. Coraz częściej spotykamy artylerię świetnie zamaskowaną. Ciągają i działa z trudem tylko dają się odszukać w terenie.

Aby dotrzeć do piechoty trzeba zjechać z szosy i tropić ją po jarach. Podążamy wyboistą drogą, która po kilku kilometrach schodzi do zadrzewionego wadi. Jesteśmy w rejonie baonu.

Gawędzimy z młodszymi oficerami. Wyczuwa się, że są podnieceni czekającym ich marszem nocnym. Czy sobie idą a czy aby wszystko będzie „kłapowało”? Czy na osi głównej nie zrobi się zator?

To godne pochwały zainteresowanie znajduje odpowiedź po kilku

od oddziałów meldunki o zajęciu podstawy wyjściowej.

I znów cisza. O brzasku patrząc z góry na martwy pejzaż trudno by było uwierzyć, że ukrywa on w swych zakamarkach całą dywizję z artylerią, tysiącami samochodów i pajęczyną łączności.

Natarcie rozpocznie się dopiero o 10 rano. Ponieważ jest ósma, udajemy się na mały rekonesans pierwszej linii.

Droga prowadzi wśród niskich pagórków. Wszędzie rozproszone i przypięnię do stoków pojazdy. Przed stokami najwyższego pasma wzgórz znajdujemy wskazówkę, że pierwsza linia jest tuż przed nami. Dalszą drogę trzeba odbyć piechotą. Wózekrywa się natychmiast siatką maskowniczą, a my przez kłujące osty wspinamy się na grzbiet.

U przełęczy ciągnie się długi szereg drobniagowo zamaskowanych stanowisk, zlewających się całkowicie niemał z terenem. To postępowy artyleryjskie. Dalmierze, telefony, radiostacje — w niustannym ruchu.

W jednej linii z naszymi stanowiskami znajduje się punkt obserwacyjny ciężkiej artylerii angielskiej. Wita nas oficer w stopniu kapitana. Jest bardzo zadowolony z tej pierwszej w historii współpracy ciężkich artylerzystów brytyjskich z Polakami. Nastroj zadowolenia potęgnieje przez gorące śniadanie przyniesione Anglikom z polskiej kuchni.

Zbliża się dziesiąta. Udajemy się na główny punkt obserwacyjny. przeznaczony dla gości brytyjskich i polskich. Widzimy wyższych wojskowych, a wśród nich: dowódcę Armii Iraku i Iranu, gen. Pownalla, zastępcę dowódcy APW gen. Tokarzewskiego, gen. Szareckiego i innych. Płk N. objaśnia zebranyemu ćwiczenie, omawiając szczegółowo w trakcie akcji poszczególne fazy.

Godzina 10 — pada pierwszy strzał

Arp.

## NIEMCY NA UKRAINIE

(Dokończenie ze str. 2)

mierzają oprzeć się nie tyle na Ukrainie, co na Rosji, okrojonej może, lecz rządzonej w duchu narodowo-socjalistycznym z Berlina lub przez wyznaczonych Quislingów,

a Rosja. Dlatego nie utworzyli państwa ukraińskiego, dlatego nie wskrzesili państw bałtyckich. Trudno bowiem sobie wyobrazić wolny byt tych wszystkich narodów bez wolnej Polski. A tego Niemcy nie chcą, jak nie pragną również drażnić Rosjan wsłkich odcieni tworzeniem niepodległej Ukrainy.

Inna rzecz, że w Moskwie będą musieli liczyć się w przyszłości z faktem, że już od dwóch lat istnieje na Ukrainie stan pół-autonomii, co pozostawi na pewno ślady w strukturze wewnętrznej i w aspiracjach tego narodu. Jest rzeczą również ciekawą, że kwartalnik amerykański uznał za wskazane poruszyć zagadnienie ukraińskie i omówić je z dużą bezstronnością.

W Berlinie marzą widocznie o powrocie do tego okresu rządów Romanowych, kiedy na szczycie hierarchii państwowej i dokoła dworu carskiego stali ludzie pochodzenia niemieckiego lub powiązani z Berlinem. Niemcy widzieliby w takim rozwiązaniu zagadnienia wschodniego znacznie mniejsze dla siebie niebezpieczeństwo niż w istnieniu krępkich państw narodowych między Rzeszą



# NARODZINY ISLAMU

O istnieniu Mekki było już w domo w II wieku naszej ery — pisał o niej Pliniusz jako o „Macoraba”, naprawdę jednak wynurzyła się ona z pomroki dziejów dopiero w VI wieku jako miasto święte, cel pobożnych pielgrzymek. Czczono tam jako największe bóstwo Koraysytów Czarny Kamień, wmurowany w jeden z rogów sanktuarium — „spadły z nieba” meteoryt. Kaaba sama była budynkiem z drzewa i kamienia, pierwotnie dość niskim, wzrostu człowieka, bez dachu. Wewnątrz znajdowały się posągi bóstw, a obok święte źródło Zem-zem.

Mieszkańcy Mekki, należący do plemienia Koraysz, wywodzili się od Adnana, potomka Izmaela, a dzielił na szereg rodów, których naczelnicy stanowili radę kierującą losami miasta, będącą w ten sposób rodzajem oligarchicznej rzeczypospolitej kupieckiej.

Mekkańczycy utrzymywali bardzo rozległe stosunki handlowe. Miasto ich powstało prawdopodobnie jako etap na „kadzidlanym szlaku”, na połowie drogi między Yememem i Morzem Śródziemnym. Corocznie kupcy mekkańscy organizowali wspólnymi środkami dwie wielkie karawany handlowe — jedną wyruszającą na północ, drugą na południe.

W mieście tym w „roku Stonia” (570) urodził się Aminie, małżonce Abdułłacha z rodu Al-Haszim syn, któremu nadano imię Muhammad. Ojciec nowonarodzonego zmarł na obczyźnie, a wkrótce opuściła go i matka, opiekę zaś nad nim rozłożyli stryjowie. Dziecinne lata spędził Mahomet w pustyni, oddany na wychowanie Beduince Halimie. Możliwe, iż to życie w bezludziu — później bowiem także Mahomet pasał stada swoich stryjów — uczyniło zeń raczej twardego Beduina niż zniechęcającego mieszkańca miast.

O młodzieńczym okresie życia Mahometa wiadomo niewiele: w wieku lat 15 brał on udział w wojnie między plemionami Kinana i Kays, rola jego przy tym ograniczyła się jednak do zbierania padających straż, które wręczał swym stryjom. Podobno kilkakrotnie podróżował z karawanami mekkańskimi i w tych wędrowkach stykał się z przedstawicielami różnych religii: chrześcijanami, żydami i czcicielami ognia. Uczciwość jego zjednała mu przydomek „Al-Amin”. Wszedłszy w służbę bogatej wdowy Chadidzy reprezentował jej interesy handlowe, a jego wierność i uczciwość ujęły ją do tego stopnia, że postanowiła go poślubić. Była zresztą znacznie od niego starsza, bo prawdopodobnie o około 20 lat (Mahomet mógł mieć wtedy lat 25). Bogactwo żony uwniosło go od wszelkich kłopotów materialnych. I mimo wielkiej różnicy wieku, było to szczęśliwe małżeństwo, bo Chadidza tak się Mahometem opiekowała, że w wiele lat po jej śmierci, płakał na samo jej wspomnienie. Miał on z nią kilkoro dzieci, a o imieniu pierwszego syna nosił, obyczajem arabskim, przydomek Abu Kasim (ojciec Kasima). Synowie pomierali zresztą w wieku dziecięcym, a z córek tylko jedna, Fatyma, wydana za matkę za stryjczego brata Mahometa, Alego syna Abu Taliba, dała życie potomstwu, od którego wywodzą się dzisiejsi „Aszraf” („Szlachetni”).

Mahomet wiele rozmyślał nad sprawami religii — bołazo go balwochwaltwo Koraysytów i ich grubymaterializm. Dopiero jednak w wieku lat 40 przyszło mu to, co nazwał pierwszym objawieniem: gdy rozmy-

ślał w samotności na górze Hira po- za miastem — co było jego zwyczajem — wydało mu się, że ukazał mu się archanioł Gabriel pokazując kartę pokrytą piśmem i każąc ją czytać. Mahomet wrócił do domu wstrząśnięty, szukając pociechy i rady u małżonki, obawiał się bowiem obłąkania. Chadidza pocieszała go i u- maciała w przekonaniu, że było to rzeczywiste objawienie; minęły jednak trzy lata, zanim archanioł okazał się Mahometowi ponownie, wola- jąc nań „O Muhammadzie, tyś pro- rokiem Pana, a jam jest Gabriel”. Od tego czasu objawienia powtarzały się ciągle, poprzedzane kryzysami fizycznymi — osłabieniem, dreszczami. Przedmiotem ich były Jedność Boga i misja proroka Mahometa.

Korayszyci słuchając tego, co mówił im Mahomet, wstruszeni początkowo pogardliwie ramionami, uważając go za pół-szalonego poetę. Kilka tylko osób z najbliższego otoczenia Mahometa przejęło się zasa- dami głoszonej przez niego nowej religii.

Religii tej nadał Mahomet miano Islamu czyli „poddania się” (woli Bożej oczywiście). Monoteizm (wiara w jednego Boga) był w niej bardzo dobitnie podkreślony. Według Mahometa Bóg stworzył człowieka, by go przez prawdziwą wiarę doprowadzić do szczęścia w raju. Wiara zaś była głoszona od pierwszej chwili stworzenia rodzaju ludzkiego za pośrednictwem proroków, natchnionych przez Boga. Najważniejszymi z nich byli: Adam, Noe, Abraham, Mojżesz, Jezus — i Mahomet, który miał religię uczynić ostateczną i w całości swej doskonałą. Bóg nie dał wprawdzie Mahometowi mocy czynienia cudów, ale zesłane nań objawienia same były cudami. Święte słowa w ten sposób objawione, zebrane w swą całość dały księgę zwaną „Al-Kuran” (Koran) czyli „Czytaniem”. W Koranie znalazło się bardzo wiele podań biblijnych z dodatkami dziejów proroków Staremu Testamentowi nieznanych, ale żyjących w tradycji arabskiej: Huda, Salih, Szoiaba. Z wierzeń arabskich Mahomet przyjął także święto Kauby, jako przy- bytku wystawionego własnymi rękami przez Abrahama i jego syna Izmaela, praojca Arabów. Objawienia nowej religii nie wyłączały także istniejących do tego czasu ksiąg świętych, a mianowicie Starego Testamentu i Ewangelii, które jednak, według Mahometa, były zniekształcone przez żydów i chrześcijan.

Lata całe głosił Mahomet nową wiarę znajdując powoli coraz to nowych wyznawców, których jednak poganie zaczęli prześladować, tak że część ich musiała się schronić pod opiekę chrześcijańskiego króla Abisynii. Ostatecznie życie stało się w Mekce nieznośne dla Mahometa, tak mu je obrzydzało. Gdy wreszcie poganie zaczęli wprost dążyć do zamordowania go, zdecydował się opuścić rodzinne miasto i udać do innego, zwanego Yatrib, którego mieszkańcy żyli w nieprzyjaźni z Koraysytami. W podróży tej towarzyszył Mahometowi jego przyjaciel Abu Bekr. Zmyliwszy pogoń mekkańczyków, dotarli oni do Yatrib, gdzie zostali gościnnie przyjęci przez mieszkańców. Yatribici przychylnie odnieśli się także do doktryny Mahometa, za co otrzymali tytuł „Ansar” — „Sprzymierzców”. Muzułmanie, którzy zaczęli także ścierać do Yatrib w ślad za swym prorokiem, otrzymali miano „Muhadżrin” (Emigranci), a data ucieczki Mahometa

(„Hidżra” — wyjście, emigracja), ustalona na dzień 16 lipca 622 roku według naszego kalendarza, stała się punktem wyjścia muzułmańskiej ery.

Znaczną część mieszkańców Yatrib stanowili żydzi oraz chrześcijanie. Mahomet więc postanowił zająć stanowisko pośredniczące między wszystkimi tymi odłamami ludności, co zostało dokonane przy pomocy bardzo mądre i dyplomatycznie zredagowanego paktu czyli „ahd”.

Od pierwszej więc chwili swego pobytu w Yatribie, który stał się miastem Proroka — Medyną („Medinat An-Nabi”), Mahomet okazał się znakomitym politykiem i niepospolitym mężem stanu. Umiał narzucić swe pośrednictwo między różnymi odłamami ludności, przygotować stopniowo umysły do przyjęcia nowej religii, pozyskiwać plemiona arabskie drogą dyplomacji, a jeśli ta zawodziła — siłą. Grał rolę arbitra między zwaśnionymi, narzucał dyscyplinę samowolny. Dla tych przeciwników, którzy dali się przekonać i nawrócić był ludzki i wybaczący, umiał jednak być krwawo bezwzględny wobec zatwardziały w uprze.

Mekka, miasto bogatych kupców, siedziba rozległego handlu a jednocześnie centrum religijne Arabii, była najważniejszym obiektem do zdobycia, skoro nie było mowy o jej pozyskaniu. Mahomet wiedział, jak najdotkliwiej ugodzić mekkańskich bogaczy — przez zatanowanie handlu. Wysyłane przez nich karawany były stale zatrzymywane i łupione przez muzułmanów, a przeciw największej z nich, prowadzonej przez samego Abu Sufiana, najwybitniejszego z mekkańskich obywateli, Mahomet przedsięwziął wyprawę osobiście.

Abu Sufian dowiedział się na czas o niebezpieczeństwie i wezwał pomocy z Mekki. Gromada jednak kupców na poczekaniu przeobrażonych w rycerzy, mimo trzykrotnie przeważającej liczby, nie mogła oprzeć się ogarniętym religijną ekstazą wojownikom Mahometa, wierzącym w nadprzyrodzoną pomoc 5000 aniołów. Korayszyci zostali rozpedzeni tracąc kilkudziesięciu zabitych. Bitwa ta — pod Bedr — dała do poznania kupcom, że mają do czynienia z niezwykle groźnym przeciwnikiem, którego należy zniszczyć za wszelką cenę. Starannie przygotowaną wielką wyprawę wojenną przeciwko Mahometowi, który na wieść o zbliżaniu się wrogów wyruszył na spotkanie zajmując stanowiska obronne pod górą Ohud. W bitwie, jaka tam się rozegrała, muzułmanie ponieśli klęskę, a to dlatego, że w pierwszej chwili powodzenia część ich rzuciła się na obóz Koraysytów dla rabunku, co wykorzystał jeden z mekkańskich wodzów, Khalid Ibn Al-Walid wpadając z jazdą na tyły nieprzyjaciela. Mahomet, trafiony parokrotnie ciskaniem z proc kamieniami, został ocalony przez jednego ze swych towarzyszy, niejakiego Salmana. Jeden z jego stryjów, Hamza, padł pod ciosemi mekkańczyków wraz z wielu innymi muzułmanami. Korayszyci nie umieli jednak wyzyskać zwycięstwa i wrócili do rodzinnego miasta pozwalając Mahometowi nie tylko ochłonąć, ale drogą rzeczną polityki wzrosnąć znowu w siłę i rozpocząć na nowo blokadę przez prześladowanie mekkańskich karawan.

W roku 627 mekkańczycy postanowili skończyć ostatecznie z Mahometem i zorganizowali nową wyprawę w liczbie 10.000 ludzi. Na wieść

o zbliżaniu się nieprzyjaciół, Mahomet idąc za radą jednego z towarzyszy kazął zabezpieczyć najwrażliwsze na atak części miasta rowem, zaopatrzonym w rodzaj przedpiersia z wyrzuconej ziemi. Mekkańczycy byli tym tak zaskoczeni, że nie umieli sobie dać rady z tego rodzaju mizernym okopem. Po całonocnych walkach, polegających głównie na obrzucaniu się kamieniami, strzałami i wymysłami, mekkańczycy postanowili obłąknie zwinąć, zwłaszcza, że koczowniczy Beduini, stanowiący znaczną część ich wojska, utracili zapal wojenny.

Teraz Mahomet zrozumiał, że kolej przyszła na niego — nie spieszył się jednak z atakowaniem wroga, umacniając na razie społeczeństwo muzułmańskie i pokonywując wrogów wewnątrznych.

Mekka była jednak zawsze najważniejszym celem. Wyprawa przedsięwzięta w roku 628 obeszła się bez krwi rozlewu: mekkańczycy woleli — zarówno zresztą jak Prorok — poszukać drogi pokojowej. W wyniku rokowań zawarto układ, na mocy którego muzułmanom było dozwolone odbycie w roku następnym pielgrzymki do świętego grodu. Niektórzy z towarzyszy Proroka uważali ten układ za połowiczny, Mahomet wiedział jednak co czyni — nie pożałował on krwi rodaków wolał uzyskać ostateczne zwycięstwo na drodze dyplomacji. Nie oznaczało to bynajmniej, że równie pokojowo odnosił się do innych sąsiadów: wyprawa złożona z 3000 wojowników wysłana została ku granicom Syrii. Doznała ona jednak niepowodzenia: w okolicach Morza Martwego muzułmanów rozbiła wojska bizantyjskie.

Zażywając w ciągu całego roku spokoju mekkańczycy doszli tymczasem do wniosku, że lepiej — dla dobra interesów handlowych — wyzrec się nawet kamiennych bóstw Kaaby i ugiąć przed przewagą Mahometa. Gdy nawet najjaśniejszy dotychczas przeciwnik Mahometa, Abu Sufian, przychylił się na stronę frakcji pokojowej, zwolennicy wojny zmuszeni zostali do ustąpienia i przyjęcia warunków Proroka. Ogłoszono ogólną amnestię, pogaństwo zostało zakazane, balwany zniszczone, poza tym jednak Korayszyci mieli się rządzić według dawnych obyczajów, a Mekka stała się świętym miastem Islamu.

Wszystko to jednak wyczerpało siły Proroka. Klęska w Syrii także wstrząsnęła nim ogromnie. Po powrocie z Mekki czuł się coraz bardziej zmęczony i chory, aż wreszcie uległ całkowicie niemocy, nie będąc w stanie nawet przewodniczyć wier- nym w modlitwie, w czym zaczął go zastępować Abu Bekr. Dnia 8 czerwca 632 roku Prorok zamknął oczy na zawsze. Z jego śmiercią, stworzone przezeń państwo zostało na moment zachwiane — silna jednak wola najbliższych towarzyszy i powierników, Abu Bekra i Omara Ibn Al-Khattab uratowała jego dzieło. Państwo muzułmańskie, wyrosłe w pustyniach Arabii, odkryło w sobie nagłe żywiołową siłę wulkanu: tysiące wojowników ogarniętych zapalem religijnym, wyległo ze spalonego przez słońce serca półwyspu, rzucając się na okoliczne kraje. Najpotężniejsze armie ówczesnych państw uległy ich ciosami. Szli w dalekie kraje wciąż zwyciężąc, aż dopiero pod Tours i Poitiers nawale ich zatrzymały proste miecze frankońskich wojowników Karola Młota...

Witold Rajkowski

# Kresowa przed Naczelnym Wodzem

(Od specjalnego wysłannika „Orla Białego”)

Kwaterna prasowa.

Jeden z moich kolegów, który biega tu z opaską korespondenta wojennego debiutując jako operator filmowy twierdzi, że nam „zawodowcom” w żadnym razie nie wypada wchodzić się defiladami. Może i ma trochę racji. Bo przecież na długie jeszcze lata zmęczą nas defiladami tygodniki filmowe „Pata”, które nie innego w Polsce nie widzieliśmy oprócz dostojnych ministrów i wojowników niezmięczenie przecinających wstęgi, oprócz maszerującego wojska i wzniośle „w krótkich żołnierskich stowach” wrzuszających się dygnitarzy.

Nie można powiedzieć, aby wojna wiele pod tym względem zmieniła. Niedawno w 5 dodatkach filmowych nadeszłych ze Szkocji naliczyliśmy 30 defilad, a więc 6 na sztukę. Za wzór dla naszych filmowców tak w Anglii jak i na Środkowym Wschodzie powinien służyć film „Desert Victory”. Jest tam jedna defilada i to w zdobytym Trypolisie.

Są jednak defilady, które wrzuszają nas mimo wszystko, które nie są seryjnym obrazkiem nieudolnego batalisty, które kruszą wszelkie kompleksy anty-paradowe.

Taką defiladę oglądałem w ostatni czwartek, kiedy bitym, szerokim traktem rzuconym przez step kurdystański, drogą splamioną czarnymi kałużami ropy, której tu tak dużo, że wystarczy tylko lekko zadrasnąć ziemię by buchnęła złotodajna fontanna, pod obcym, nieskalanym błękitnym niebem, szły oddziały dywizji Kresowej w odświętnej defiladzie przed Wodzem Naczelnym i generałem Andersem.

Nie będę pisał w jakiej maszerowali kolejności, jaka przygrywała im orkiestra... Nie użyję zwykłego zwrotu o oczach żołnierzy wpatrzonych w oczy Wodza. Nie napiszę tego, bo prawdę mówiąc nie widziałem ich wzroku pod stalowymi hełmami, tak szybko szli w kurzuwacie białego pyłu. Daleka od szablony była wynowna tego rytmu, odległa nutę wylawało ucho. I choć nie jestem muzykalny, gotów jestem przyznać, że ją odgadłem, że od razu zrozumiałem dźwięk, niecodzienną melodię tej defilady. Może dlatego, że i we mnie drgnęły te same struny, rozkołysane tymi samymi marzeniami. I gdybych był nietakowny i w fasonowych butach pchał się w duszę pierwszego lepszego z tych chłopców, znalazłbym potwierdzenie, w które ani przez chwilę nie wątpię. Melodia płynąca nad szeregami, w rozfalowanym blasku bagnetów, piosenka nie napisana, śpiewała dyskretnie i leciutko, że choć słońce praży nieumilostnie, choć pot leje się strugami z czoła, choć kilka godzin czekał na tę krótką chwilę, żołnierze Kresowej są weseli i nie żalują zmęczenia i nieprzespanej nocy. I nie popadną chyba w banalny patos reporterski, jeśli napiszę, że żołnierska fantazja poniosła ich daleko za te góry namalowane czarną linią na horyzoncie. Przeszli morza i lądy, Wartę i Wisłę, przemierzili tysiące kilometrów i teraz ciężkimi buciorami biją w bruk rodzinnego miasta... Każdy z nas tego ranka myślał o tej ostatniej defiladzie. I dopiero kiedy włączył mi w oczy Kurd, który się tu zawierzuszył w malowniczym, okrągłym kapeluszu stromianym, podobnym do meksykańskiego sombrero, ocakłem się.

Drogą walała artyleria.

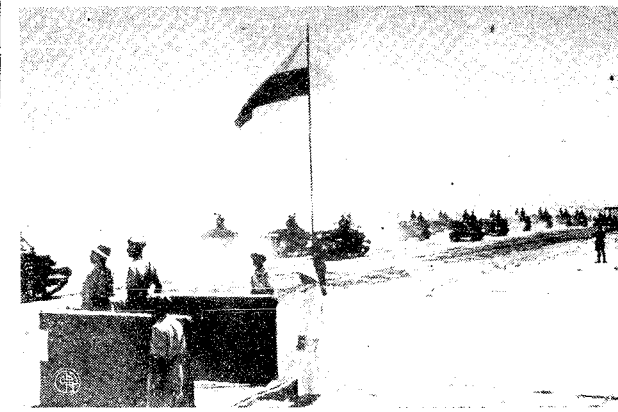
Ale nie tylko dlatego byłem wrzuszony.

Żołnierze dywizji Kresowej przy-

szli tu z Rosji. Z daleka. Z Komi, Kołomy, Griazowca, Kołtasn. „Prawosławna arystokracja”. Bataliony Rysioń, Zbików, Wilków powstały w Tatiszczewie nad Wolgą. Zimno było przy porodzie.

Kto z nas, dawnych więźniów, nie ma w tych oddziałach przyjaciela, z którym dzielił się „pajką” chleba, którego grzyły te same wszy? Z dwoćką drużyny, który teraz wali w szortach z karabinem w ręce, pracował razem na 25 kolonii w Soroklagrze nad Białym Morzem. A 11 września po raz ostatni ramie przy ramieniu defilowaliśmy przez bramę obozu, tym razem nie do pracy, ale do pociągu, który powstawił na stację miał nas zawieźć na wolność. Pamiętajcie jeszcze ten dzień? Denerwowałeś się, dlatego na końcu wywołują.

Dla nas te bataliony nie są tylko numerami: 13-tką, 14-tką, 15-tką. Nie zapomnimy nigdy, jak nam było



Defiluje pułk ułanów pancernych

przez pierwsze miesiące w Tatiszczewie, kiedy wreszcie dorwaliście się do wojska, jakżeście żyli, jak pracowali, jak nie mając jeszcze koni własnymi rękami ciągnęliście działa, jakżeście chodzili po drzewo w straszny mróz i nieśli to drzewo na opał, na budynki, przez wiele, wiele kilometrów, wszyscy razem, oficerowie i żołnierze. Jakżeście poczuli się jedną rodziną, jak powstał duch dywizji, którą wtedy nazwano żelazną, bo tylko żelazo jest tak niezczule na mróz. Pamiętajcie też Wódz Naczelnym i generał Anders grudniową defiladę, kiedy maszerowaliście jeszcze w starych spracowanych płaszczach, w mundurach litewskich huzarów, estońskich dragonów.

A kiedy ktoś nieostrożnie zeche w was zaimponować tropikalnymi upałami, roześmiejęcie mi się w twarz i odpowiedzieć krótko: Dżałalabad, To niech się nawet Basra schowa. A czy jest u was jeszcze chorąży Cichocki, ten który tak pięknie rzeźbił na waszym kirgiskim m. p. w mieszaninie gliny z miałem węglowym pomnik „Rysia” i „Ukothane Miasta”?

I każdy przyzna, że zawsze potrafiłiście zdobyć sobie sympatię ludności. Tak jak teraz Arabiłka wolała wam „dzindobry”, tak wtedy czarniawie skrabki kirgiskie salutowały „czest”. I tak, jak tam pozostała po was i tu hejnał i pobudka.

Ldzie brygada „Lwów”. Wojsko, jak ta lala. Dawna wiara z Tockego. Specjaliści od „desantów” w teren. Niekiedy zapuszczali się aż po Tazkent. Po migdały, rodzynki i wino na Święta.

Defiluje pułk ułanów pancernych. Zawadiacko, z fantazją, z kawalerskim zacięciem szarżują carryery. Patrzcie, wszystkie starszy znajomi z Jangi Jul. Szukam mego przyjaciela Kwietnia. Nie widziałem go od Pahlawi. Był na naszej kolonii kucharzem. Po miesiącu go jednak przegonili, bo dawał najgorszym „odkaczykom” repetę. Ale szukaj wiatru w polu. Nie mogę go wylać wzrokiem. Jadą jak szaleńcy. Smugi pyłu wytryskają pod kołami, oblokami przesłaniają kolumnę.

Giekiaw jestem, co się stało z waszą maskotką pułkową, 9 letnim ulanem Tadzikiem Kotkiewiczem. Czy oddaliście go do szkoły junaków? Wyobraź sobie jak smyk płakał przy pożegnaniu. Jestem pewny, że gdyby jeszcze u was był, siedziałby dzisiaj odświętnie „wystaflowany” z waszym dowódcą razem w carryerze. Nie odmówilibyście chłopcu tej przyjemności.

cza nagle, że wybrał jedną tarczę, która ma być nim. Zaznaczył przy tym, że wyszukał tarczę, która nie będzie ani zbyt łatwym, ani zbyt trudnym celem dla artylerii i cekaemów. „Taką pośrodku, żeby mnie nie mogli od razu zabić” — dodaje pogodnie.

Kilkanaście minut po trzeciej padają pierwsze wystrzały artyleryjskie. Biją 25 funtówki. Białe obłoczki układają się grzeźnie jeden przy drugim. Po pierwszej serii Wańkowicz przykłada lornetkę do oczu i z ulgą konstatuje, że jeszcze żyje. Ogień staje się coraz gwałtowniejszy. Ojczywicie się moździejce. Powietrzem wstrząsa jeden wybuch po drugim i po chwili cała kotlina stoi w dymie. Po każdym uderzeniu pocisków zapalających wykują na brunatnej ziemi czerwone maki ognia. W bezlitosnym białym słońcu który nabiera szczególną soczystości i barwy, chwilami ulegam wrażeń, że jestem na filmie „kolorowym”, zwłaszcza kiedy ta cała wojna w kolinie gra gamą żółtych, białych, czarnych, czerwonych, niebieskich barw.

Krótkimi seriami warczą cekaemy. Nagle słyszymy okrzyk jednego z kolegów. Poszło. Poszło natarcie piechoty. Na lewo za strumykciem widzimy figurki biegnących żołnierzy. Z każdą sekundą jest ich coraz więcej. Biegają, padają. Artyleria i cekaemy przenoszą ogień. Wańkowicz zrywa się nagle, bierze swe składane krzeselko i wymachując nim jak maczugą drepcze z góry na pazurki. Nie wypada mi nie pójść w jego ślady.

Po chwili idziemy w pierwszej linii natarcia. Nad głowami świszczą pociski. Padają wyrwane słowa rozkazów. Piechota pcha się gwałtownie naprzód. Żołnierzy porwało tempo walki.

Zdobywamy jedno stanowisko za drugim. Do akcji zostają rzucone odwody. Wańkowicz w największym wirze walki zainteresował się nagle olbrzymim pasikonikiem. Zostajemy w tyle, dzięki czemu możemy stwierdzić, że za piechotą idą oddziały saperów ubezpieczające niewypały, gotowe na każde wezwanie, gdyby oddziały pierwszej linii zagalopowały się na pola minowe.

Pasikonik został sfotografowany. Biegniemy znowu naprzód. Wańkowicz pierwszy, ja po jego tropach. Natarcie, pisząc stylem sprawozdania pilkarskiego, wykazało doskonałą współpracę i kondycję całego zespołu. Krótkimi „padaniami” atak zdobywa teren podsuwając się pod bramkę przeciwnika.

Wańkowicz podchodzi do leżącego żołnierza, który z erkaemu wali serię za serią w najbliższą tarczę. Nagle słyszę dramatyczny okrzyk. „On strzela do mnie.” Jak się okazuje p. Melchior przypadkowo natrafił na swego „mordercę”, który w najlepszej wierze wstrzeliwał się w wybraną przez niego tarczę. Jeden z kolegów stwierdza, że Wańkowicz z całą pewnością „nie żyje”. Po chwili jesteśmy przy „trupie” znakomitego pisarza. Leży podziurawiony jak sito.

Cwiczenia skończone. Wracamy.

Po drodze spotykamy „mordercę” Wańkowicza. Przy nim stoi jego dowódca drużyny i robi mu gorzkie wymówki. Przegrał erkaem. Chłopak jest czerwony jak burak, żał mu sprzętu, tłumaczy, że pokazywał jakimś korespondentem jak się strzela. Tak się zapalił, że zapomniał o możliwości przegrzania karabinu.

Jest nam go bardzo żal. Właściwie nasza wina. I dlatego na tym miejscu prosimy: Panie poruczniku, chłopak chciał przecież jak najlepiej. Proszę mu tym razem darować raport karny. Naprawdę bardzo nam na tym zależy.

Zdzisław Bau

# WSPANIAŁA MATKA

W upalny, duszny, zakurzony i przepocony dzień — wykapać się, skoczyć do warkiego, chłodnego potoku! Rozkosz!

A właśnie był taki gorący paletyński dzień i grubą warstwą kurzu osiadła na duszy plotki — ploteczki, narzekania i krytyki malkontentów. Ciężkim, najcięższym kamieniem legły na sercu ostatnie wiadomości polityczne...

A tym rzeźkim potokiem, tym chłodem źródłanym był... pobyt u naszej młodzieży, w Szkole Kadetów, w Junackiej Szkole Powszechnej. Spędziłem z nimi dzień 3 maja. Było dużo gości i wiele wspaniałych opisów uroczyściwości zamieściła prasa. Były i „miarowy, twardy krok” defilady i „płomiennie kazanie”, i zawody sportowe, gdzie brać szkolna prezentowała „łężynę fizyczną”, była i „wspaniała akademii”. Wszystko to doprawdy było. Nie będę tego powtarzał. Chcę tylko zaznaczyć, że akademii nie była... „wspaniała”.

Nie idzie o zacinającą się kurtynę, o przydługi program, o złą akustykę sali i nadstawianie uszu przez ostatnie rzędy. Są to drobne rzeczy i małe wady... prawie wszystkich takich uroczyściwości. Ta jednak była niezwykła... I, mówię to bez przesady, pozostawiła głębokie wrażenie. Chodzi o program, o pomysły. Zrodził się w głowach chłopaków. Przez nich samych wykonany. Nie było patetycznych przemówień. W ogóle nie było patosu. I słusznie, bo nie tak nie razi szczerze, wrzeliwej duszy młodzieńczej jak patos. Na cały, całutki program złożyły się... ludzie! Posłuchajcie tylko, pesterajcie się tylko to dobrze zrozumieć... złożyły się autentyczne wyjątki z Konstytucji Trzeciego Maja i wypowiedziane autentyczne przemówienia z Sejmu Czteroletniego!

Młode, mutujące głosy łamały się, ale jaka powaga! jaka świadomość wagi wypowiedzanej treści! W wieku, który słuszenie można określić mianem wieku bezprawia i najbliższej swawoli, tu, w tej dusznej, zatłoczonej sali, nad setkami rozczochranych młodych łepetyn un-

sił się symbol Prawa, obraz nowego porządku, na którym pra, pra, praojcowie zamierzali odbudować Pospolitą Rzecz...

Potem śpiewano Hymn. My — naszej Pieśni śpiewać nie umiemy. W najłepszym razie wyciągnięci na baczność nieśmiało mrużymy pod nosem. Tam — Mazurek Dąbrowskiego rozsadał ściany wielkiej hali! Grzmiał! Słowa o Tej co nie zginęła póki oni żyją śpiewano pełną gębą, rzucano wyrwane z pod serca jako odpowiedź, jako dumne wyzwanie wszystkim złym losom i wszystkim mocom ciemnym. A przecież komu jak komu, ale im ten zły los chyba niczego nie szedził. Spróbujcie sąsiadowi, drugiemu, trzeciemu rzucić krótkie pytanie: ojciec? I patrzcie prosto w oczy. Starobielsk... Kozielsk... Os!aszków... Matka? Rodzeństwo? Została... „tam”... albo nie żyje... albo nie wiem. Dużo, barzo dużo takich. Ale patrzcie dalej prosto w oczy, jeżeli starczy wam siła, bo on, taki szkrab oczu nie zmuży, nie odwróci. Zlekka mu się „spoczą”, ale to nie łyż. Może jest teraz „tak duszno” może „światło takie rażące”, ale to na pewno nie łyż, bo oni płakać już nie umieją...

Kochani, złoci chłopacy, przepraszam... koledzy z naszej jutrzejszej zmiany — wasza akademii nie była „wspaniała”, ona była... nie! nie znajduję odpowiedniego słowa.

I nie szukajmy właściwego określenia, słowa są puste, a każde określenie będzie tracić patosem. A patosu nie lubicie, bo nie słowa są ważne, lecz treść.

A treścią i sensem szkoły jest nauka. I uczą się chłopaki. I to jaki! Jeden z wykładowców na zadane w tej sprawie pytanie odpowiedział mi tak:

— Kolego! Długi szereg lat w Polsce byłem tak zwany „belfrem”, wielu przeszło przez moje ręce, ale „takich” uczniów nie miałem! Pewnie, że stracili dużo szkolnych lat, ale mieli twardą szkołę życia, a teraz tykają wiedzę jak sto tysięcy zgłodniałych krokodyli! Złoto! Szczęre złoto! Jestem dumny... i machnął

ręką, a głos profesora dziwnie się załamał...

Uf! Jak duszno! Jakże rażące światło!... jaki wspaniały dzień!

Lecz to jeszcze nie wszystko. W sąsiedztwie mieści się Szkoła Powszechna Młodszych Ochotniczek. I gimnazjum, i liceum. Pachną kwiaty, dużo kwiatów i dziewczyny są jak kwiaty. Ej, koleżanki! nie gadam wam komplementów, bo przecież się znamy. Pamiętam was jeszcze z „tamtych” czasów, pamiętam z Pawlewni wasze skórą obciążone kosteczki, i z piasków persko-irackich pamiętam jak „takie coś”, w mundurze z nieprawdziwego zdarzenia i ka-



peluszu cowboyskim prostując się piszczało: „junaczka takato melduje się jako...”. Więc, że was do kwiatów porównałem to po prostu z radości, że już inaczej, Bogu dzięki, wyglądacie. Nic więcej. Doprawdy. Zreszto jesteście obrzydliwe i nieznośne. Pani komendantka na was się skarży. No, bo proszę państwa! Czy to słyszana rzecz by dziewczynki wszystkimi możliwymi sposobami, i drogą „służbową” i setkami ścieżek prywatnych prób dokuczały jej tą „godziną gaszenia światła”? By jeszcze godzinę (a może dwie?!!) dłużej czytać, przepisywać, uczyć się...

A ten kawał ze szpitalem? Jak wam nie wstyd! Siostry angielskie skarżą się, że póki jako chore leżycie w łóżku, jesteście aniołami, ale jak tylko pozwolą rekonwalescencie wstać — istny diabeł w nią wstępuje! I jesteście wtedy „okropne”! I dopiero znacznie później przyznaliście się zmartwionej komendantce do tej brzydkiej rzeczy, że... naumyślnie stajecie się nieznośne by was... jak najprędzej ze szpitala wyrzucano... do szkoły i wykładów!

A ta chora na malarię klejzanka? Ta, co swoją rodziną, a zdrową jak grzyb siostrę zamiast siebie do łóżka szpitalnego wpakowała, aby ją (siostrę chorą) po dokładnym zbadaniu (siostry zdrowej!) ze szpitala wypisali, bo właśnie wtedy miały być jakieś specjalnie ciekawe wykłady? Co? wstyd!

Skarży się komendantka a... oczy jej się śmieją.

Złota, złociusienka pani! Przepraszam — ponościł mnie... pióro. Pani komendantka, przepiśpiszcie ściągnięta oficerskim pasem, na pewno przywołalaby mnie do porządku za niewłaściwy zwrot. Chciałem jeszcze zdradzić, że nie tylko ze swymi dziewczynkami, z wesołą „gromadą Miki Mausów” i z „gminą Zielonej Pokrzywy” ma komendantka „takie” kłopoty. Przecież niedawno jedna z jej koleżanek — nauczycielek, szcękając zębami w ataku nabytej „tami” febrzy, zrobiła okropną awanturę nie chcąc iść do szpitala. Powód protestu był bardzo prosty — zbliża się czas matury, a... wykladać ze szpitala nie można.

Wykladać ze szpitala rzeczywiście nie można i wobec tego... Nie, nie! nie będę niedyskretny i stawiam kropkę. Ale czas matury naprawdę się zbliża. Matury jakże innej niż w naszych czasach. Matury bez tremy i bez ściągaczek, bez chęci zdobycia „papierka”, a z głodem, prawdziwym głodem wiedzy. I z dużym poczuciem obowiązku społecznego.

I co dalej? One wiedzą czego chcą, mają swoje marzenia. Lecz nie wiedzą, czy to jest możliwe.

A myśmy powinni zdać sobie sprawę z tego, że: jeżeli nie wykorzystamy (piszę wyraźnie i całkiem cynicznie — wykorzystamy) należycie tego zapatu, głodu wiedzy i przede wszystkim tej postawy społecznej, jeżeli nie utworzymy im w ten lub inny sposób dróg na uniwersytet, na medycynę do Beyrutu, jeżeli nie stworzymy kursów pedagogicznych dla dzisiejszych maturzystek — jutrzejszych nauczycielek — zmarujemy ten skarb.

I gdy po wygranej wojnie wrócimy do Kraju, do Kraju pozbawionego lekarzy i kadr nauczycielskich to — może wiele grzechów nam Kraj wybaczy, ale tego nigdy.

Wiktor Ostrowski





## Listy z podróży

## PIRAMIDY

Słyszałam zawsze, że Piramidy i Sfinks należy oglądać o pełni. Niestety, jakos nie poczekala na mnie. A ponieważ z kolei i ja na nią czekać nie mogłam, zrezygnowałam z księżycą i wybrałam się tam pod niski zachód. Jechałam z dziwnym uczuciem. Chciałam zachwytu, a bałam się rozczarowania, o które zawsze łatwiej.

W złotopomarańczowej mgie zjawyły się pierwsze ciemnofioletkowe stożki Piramid. Ponad mijane domy, olbrzymie hotele i palmy, dźwigały się tam ciężkie, obce, wyniosłe. W miarę podjeżdżania wszystko malało, a one rosły i rosły, aż stanęły z bliska nad człowiekiem niebotyczne, chropawe od gigantycznych, kamiennych bloków. Tak! Kto tego z bliska nie widział, ten nie potrafi nigdy zdać sobie sprawy z ich ogromu. Obawiam się jednak — że to wszystko. Oczywiście. Człowiek głupieje na myśl, że to potrafili ludzie, ale równocześnie wrusza ramionami, że im się chciało... Zdaje się, że dziesięć razy większe, nie robiłyby dziesięć razy większego wrażenia, tylko by się człowiek dziesięć razy więcej dziwił Cheopsowi. Wielkie rzeczy! Miał na to, bo był bogaty. Spędzić setki tysięcy niewolników, rozstawić nad nimi setki tysięcy batów, a potem kazać im stawiać klocek na klocek, przez — nie wiem ile lat! Mówiono mi, że to bardzo chytre wyliczone, że wszystko coś znaczy i czemuś się równa. Wymiały tędy odpowiadają wymiarom tymi a tym. Wysokość razy szerokość, równa się temu a temu. Ale tego wcale nie widać. To się tylko wie, a świadomość taka nie daje oczom nic. Czy mają przed sobą coś, czego z bliska nie mogą ogarnąć, co rozdrabnia się na poszczególnie kamienne kostki, a co z daleka robi się znowu małe i nie uderza niczym. Ani linia, ani kształt, ani pięknością. Ogrom i wysiłek — voila tout... Nie, Piramidy nie mają żadnego wyrazu. Nie mówią nic, prócz tego, że Cheops miał widocznie bardzo dużo niewolników i żadnego większego zmartwienia na głowie, nad to, by o nim przyszłe tysiąclecia nie zapomniały. Nainnie bezwstydną, zarozumiałą ambicją tamtych ludzi! Bezprykladna samochwalba, umiająca kazać z zachwytem nad sobą westchnąć górze kamieni do tak niebotycznej wysokości! I żebyż choć cel i skutek opłacał się tu światu czymś, co jest naprawdę nieśmiertelne: pięknem! Sam ogrom nie jest jeszcze pięknem. Piramidy są puszcze, dopowiedziane, skończone, nie dające żadnego niepokoju. Piramidy — i koniec!

Przez jeden krótki błysk wydały mi się interesujące i to nie dzięki sobie, tylko dzięki kontrastowi między ich a naszą współczesnością... O to po chropawej płaszczynie jednego z jej boków, przemknął bezszelstnie cień przelatującego nisko samolotu. Nie jestem pewna, co jest bardziej imponujące: piramidy, czy ten nasz mądry, srebrzysty ptak, który drasnął niebieskim cieniem odwieczność tych kamiennych kłoczków. Sorry, mr. Cheops!

Ale za to Sfinks — Boże! — Sfinks odjął mi władzę w rękach i nogach. Doznałam po prostu „szoku”.

W głębokiej, gorącej misce piasku, nisko — o wiele niżej, niż to sobie człowiek wyobraża — leży to złote, nieruchome cielsko. Owinęło się ogonem, wyprężyło grzbiet, leż dźwignęło wysoko na czujnym karku i — pa-

trzy. To nie, że ma odbity nos i miągę z górnej wargi. Zostały oczy o płaskich, nieruchomych łęczkach i szczękę wydatną, uparte, zacisnięte wyrazem nieustępliwego woli... Niskie słońce i cienie mocno już pochyłe, opylały go kurzem błękitnofioletowym, przysnionym, czymś, dzięki czemu — choć człowiek wiedział, że to prawda, że to jest, że patrzy na to żywymy oczami — zdawało mu się chwilami, że śni Nikt, nigdy nie uprzedził mnie, że Sfinks jest taki! Nikt nigdy nie powiedział mi, że nie ma w nim śladu bezosobowej obojętności i martwoty! Nigdy, w żadnej jego podobnie nie wyłapałam wyrazu tej napiętej, wystrzonej czujności, tego czyhania, tego wypatrywania czegoś! Myślałam zawsze, że Sfinks będzie pełen wyrozumiałości wyższości, że tajemniczość jego jest bierna, uśmiechnięta leniwie i „samowystarczalnie”, że jest, jak Budda — dośrodkowy! Tymczasem — nie podobnego! Sfinks jest czynny, aktywny, rozbudzony. I wcale nie zajęty sobą! Przeciwnie! Nie obchodzi go nic na świecie, prócz tego,

czego wypatruje w dalekości, o czym on jeden tylko wie, co chce spojrzeć pierwszy, przed wszystkimi i na co — z tym samym natchnieniem, z tą samą bacnością — czeka od czterdziestu blisko wieków! Nawet w jego płowym, nieruchomym grzbiecie, w jego karku o nastawionych jakby dla lepszego słyszenia uszach kamiennej chusty — jest to warowanie, ten upór, tak że człowiek bezwiednie idzie za tym jego — Bóg wie w co utkwionym — spojrzeniem... Ale tam jest tylko oddal, cudownie fioletowa z oypiskami jakichś zbożczy w głębi i zieleni szmaragdowa doliny rozległej, zawlezionej o zachodzie mgłą opalową, puszystą, jak skrzydło złotobłękitnej cmy. Nie mam pojęcia, na co Sfinks czeka, ale wiem na pewno, że to musi być jakieś straszne i ostateczne. I dlatego jest mu kompletnie obojętne, że guide gada jak najęty, płynnie, monotonna, nieinteresująco. że pogodni amerykańscy żołnierze fotografują się na jego tle na wielbłądach, że mu worki z piaskiem podpierają podbródek, że jest jakaś

wojna, że mogą być jakieś bomby... Myślę, że nawet wtedy, kiedy mu Napoleon odstrzeliwał nos, nie raczył mrugnąć powieką...

Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie od tej strony, w którą patrzy ten Głowacz przedziwny, zaczął się koniec świata... Gdyby w dniu „kiedy moce niebieskie zachwiane będą”, kiedy „góry się cofną” a „wyspy się nie znajdą” — huczcząca ściana spiętrzonych wód, które przestaną wreszcie łęknąć za księżycem, runęła z gładą na ląd. Sfinks zobaczył to pierwszy! Na pewno! Nim ktokolwiek z śmiertelnych zrozumie, co się dzieje.

Dziwnie pomyśleć, że to jego żywe spojrzenie ma blisko cztery tysiące lat! I że cokolwiek bądź działo się czy dzieje na świecie, on zawsze tak samo patrzy. Aleksander Wielki. Ucieczka do Egiptu. Wojny krzyżowe. Kolomb. Napoleon, Hitler, Churchill... A tam, gdzie z nad gorącego piasku, zawsze i ciągle te dziwne, płaskie, wypatrujące czegoś oczy.

Dotąd największe wrażenie w życiu zrobiła na mnie Nike Samotraczka, łopocząca beztępośnie na dziobie nieistniejącej łodzi, wysoko, nad sandomi Luwru. Zaraz po niej przychodzi stanowczo — Sfinks.

Beata Obertyńska

## PIOSENKA ZWYCIĘŻA

Od kilku tygodni Polowy Zespół Teatralny APW występuje w obozach z nową rewią muzyczną pt. „Popłynie wraz z nami piosenka”. Nowy program cieszy się wszędzie olbrzymim powodzeniem. Przede wszystkim „bierze” swym tempem, barwnością obrazów, żywymi melodiami piosenek, humorem, rozmachem tańców. Tempo, narzucone od pierwszego już numeru aż do samego finału, nie daje po prostu czasu na dokładne analizowanie odczuć, wrażeń i nastrojów. Obrazy płyną jak na taśmie filmowej. Bo program jest naprawdę filmem — barwnym, muzycznym, dobrym filmem. Taka „Argentyńska” na przykład — świetny zresztą przekrój możliwości artystycznych całego zespołu — jest odprawdy niezrównaną migawką z najlepszych amerykańskich filmów rewolucyjnych.

Piosenka i taniec — oto główne walory nowej rewii. Piosenka płynie z nami przez cały czas. Reprezentują ją przede wszystkim Weronika Ignatowicz i Adam Aston. Ignatowicz — jak zawsze zresztą — śpiewa dobrze, z dużym, naturalnym wdziękiem. Jej góra jest mocna, czysta, dźwięczna, piano spokojne, lekkie, pełne liryzmu. Chwilami jednak

można wyczuć w jej głosie przemęczenie. Bo piosenka w tym programie miała sporo. Parę nowych, świeżych melodii, ostatnie kompozycje Feuersteina i Grodzkiego.

O tej parze należy napisać osobno. Tworzą obaj orkiestrę zespołu, oprawę muzyczną całej rewii. Wstępują w numerach solowych, akompaniują, słowem — mają bez przesady „pełne ręce roboty”. I to przez wszystkie numery. Niemordowna para. W występach solowych, obok doskonałego zgrania i zrozumienia, błyska świetna technika Feuersteina. — „Ale oni klawo zawiązują, no nie?” słyszę za plecami. I to chyba wystarczy, prawda?

Aston wypadł bardzo dobrze. Głos jak zawsze duży, szeroki, pełen stalowych dźwięków. „Piosenkę o Wilnie” odśpiewał miękko, ciepło, bezpretensjonalnie. Stwierdziłem że Aston wyżył się już zupełnie sztuczności, twardości ruchów, pewnej manieri estradowej, która mu dawniej nieco przeszkadzała. Czuje się teraz na scenie swobodnie i naturalnie.

Taniec — to popisowe numery Zadejki, Warchałowskiej i Mroza. Warchałowskę z powodu choroby musiała niestety przerwać pracę

sceniczną. Obecnie tańczy Bronisława Pruszyńska. Widziałem ją już kilkakrotnie. To dobra tancerka.

Wszystkie numery taneczne — mówią fachowo — „postawił” Zadejko. Jego partner — Mróz, jest młodym ale wyrobionym tancerzem, a duża werwa i zacięcie dają dobre nadzieje na przyszłość. Numery taneczne zyskały bardzo w bogatej oprawie barwnych kostiumów. Zadejko zademonstrował raz jeszcze, że jest nie tylko świetnym tancerzem, ale również aktorem komicznym.

W numerach humorystycznych i skeczach pierwsze skrzypce grał oczywiście Krukowski. Znamy go, pamiętamy z dawnych, dobrych czasów. Stanowi zawsze najlepszą klasę aktora rewiiowego. W skecu „samochodowym” stworzyli z Leńskim doskonały duet humorystyczny. Widownia trzęsa się od śmiechu. Krukowski jest w świetnej „formie”. Bawi, rozbiesza, sypie dowcipem. A dowcip ma bogaty, ostry i żywy.

Leński w swoim skecu z Bielańskim naturalny i dobry. Bardzo nile wypadła Krukowska w dowcipnym wierszyku o mężczyznach.

Bielawski stanowił zupełnie osobną pozycję. Wystarczy go tylko zapowiedzieć, by widownia już zaczęła reagować żywiołowymi oklaskami. Widać od razu, jak bardzo lubi go wojsko. A to chyba jest największa i najmiłsza nagroda dla aktora. Bielański reprezentuje na scenie Lwów. Lwów pełen uśmiechu, melodii, humoru, ten prawdziwy, nasz, zawsze polski Lwów.

Rewią kończy bardzo pomysłowy finał — „sąd nad piosenką”. Piosenka zwycięża. Spłynęła ze sceny i została z nami. Na długo.

Koniec rewii przyjmuje się z żalem — trwała zbyt krótko. Ale por. Sikorski — kierownik zespołu — zapowiada niedługo nową premierę. Zyczymy, by była równie dobra, by przyniosła jeszcze jedno zwycięstwo tańca, humoru i piosenki. Zeby tych zwycięstw było jak najwięcej.

Janusz Wedow

## SONET WSCHODNI

Winnica głaszcze wzrok zielenią,  
Zapach pardesów aż odurza,  
Szumi strumyczek u podgórza  
Słiskim się wężem w głazach mianią.

Noc ścięła się płatkami róży,  
Księżyc bananem w brzewach cieni.  
Tchnęł czarem rozszerzonych źrenic  
Nadę ma gwiazdy oczy mrużąc...

Tak idąc drogą sen spotykam:  
Zaprasza brama, furta wola,  
A płot kaktusów czeźnie, żniża,

Aż się zbudziłem i ocknąłem;  
Dniało, gdy zoczył mnie z pomnika  
Horus zakłęty w kształt sokota...

Bolesław Kobrzyński

# KURZ I ŁZY

# ODPOWIEDZI REDAKCJI

Spotkałem ich w miejscu, gdzie upał w południe przyparwia ludzi o szaleństwo. Gorący, piaszczysty wiatr dmie co pół godziny, boleśnie oślepiając igłami piasku. Tego dnia teatr dał przedstawienie dla saperów. O dwunastej w południe na pustynię wyjechał maszynista, żeby zbudować scenę i ustawić elektrownię na kołach, żeby postawić namiot na garderobę. Punktualnie o ósmej kurtyna musi iść do góry.

Jeden z aktorów padając w czasie wczorajszego przedstawienia mocno nadwyrężył kolano. Miał dużą rolę. „Zastępca” uczy się jego kwestii wiele godzin w asyście much i kurzu. Pot ścieka po twarzy słonymi strugami i zalewa oczy. Kolano kolegi upodobiło się do dyni. Do ósmej trzeba się nauczyć na pamięć dwu bitych stron druku.

O szóstej teatr wsiada do ciężarówki. Ruszamy. Mam ich wszystkich przed sobą. Są bladzi i przemęczeni. Obok kierowcy jedzie Andrzejewski i najmłodszy członek zespołu Andrzej. To jasnowłose dziecko jeździ z teatrem gwoli zadośćuczynieniu potrzebom sztuki. Jeździ, by codziennie w czasie przedstawienia mogli go wnieść na rękach na dwie minuty na scenę, gdzie umiera po wypowiedzeniu (jakże świetnie!) kilku zdań. Mieszka w namiocie razem z dorosłymi, je z żołnierskiej kuchni, bawi się z psem teatru Bobbym, napętnia obóz szczęśliwym, chłopięcym śmiechem. Wnosi do trudnego życia teatru promień kojącego nerwy światła. Jest przez wszystkich kochany i ma w Bagdadzie brata, czteroletniego Jurka, którego kiedyś poznał m w redakcji „Orła”, gdy zaproponował wspólnie przeglądanie bardzo grubej encyklopedii z „obrazkami”. Pies Bobby jest przyjacielem Andrzeja. Dziwny to pies. Przyszedł do teatru z jakiejś czołówki iewiowej i teraz na krok nie odstępuje zespołu. Jeździ z nimi godzinami, czeka z nimi na auto, tak jak oni nie zawsze jest zaprowiantowany. Akto-ry są dużymi dziećmi. Normalne wojsko natychmiast po przejeździe na nowe miejsce sypie do kuchni. Oni szukają najpierw namiotu na rekwizyty. Kuchnie znajdują bardzo często na wyjeździe. Jedzą jakieś sałatki, dużo pałają i tak jak powiedział pewnego razu Utnik: „jak do idzie... przy bożej pomocy... Ale, a propos Utnika. Światy ten aktor, ale rozbrajająco naiwny człowiek, zwierzył mi się, że mocno ostatnio rozczarował się: — W Bagdadzie

mówili mi różni ludzie, gdy pożyczylem u nich na kawę w „Brazylia”, że jak pojedą na pustynię, zbiorę trochę forsy, bo tam nie ma na co wydać. Bujda. Chodzę bez grosza jak zwykle. — Wiedziałem, że mieszka tutaj od kilku tygodni. Nie mogłem więc uwierzyć, gdy przy pierwszym spotkaniu zapytał: — Nie wie pan przypadkiem, gdzie jest tutaj jakaś bezpłatna kuchnia? — A co pan przed teatrem robił w wojsku? — pytał. Okazało się, że był inspektorem higieny połowej i nie miał zbyt często do czynienia z kuchniami. Jasińska martwi się „oczkiem”, które puściło, nie licząc się z ceną pończoch. Chodzą te kobiety w jedwabnych pończochach, w wymyślonych sandałach. Są uśmiechnięte, zapracowane, europejskie, niewięcie tam gdzie idzie o przedstawienia czy odruch nie najczęściej w naszych czasach serdeczności.

Na pustyni wyrosła scena. Obok namiotu-garderoba. Jest po szóstej, „Zastępca” dzisiejszego przedstawienia już ze dwadzieścia razy powtórzył pierwsze zdania swojego tekstu, a surowy profil Dmańskiej wciąż jeszcze trwa w natężeniu. Oczy i uwagi reżyserki (p. o. reż. Radulskiego) chcą „wyciągnąć” rolę mo-żliwie na najwyższy poziom.

Domańska ma atak malarii, przecie-ki, będzie grała. Kiedyś było gorzej i „grało się”. Pamięta pani, kiedy szliśmy zaboconą baranowicką ulicą pod eskortą azjatyckich bagnatów?

Na horyzoncie ukazują się od-działy. Widownia jest anfiteatralna. Po półgodzinie w górę skrzy się tysiącem papierosów. Bobby kładzie się spokojnie opodal sceny. Wie, że na dwie godziny trzeba zawiesić za-bawę z Andrzejkiem. Kurtyna idzie w górę, wojsko szepece: Pamiętaj z Polski! Andrzejewski, grała w filmie.

Rozpędzone po świetcie polskie teatry zebrały się na irackiej pusty-ni, stworzyły jeden zespół by dać z siebie wszystko, co może dać ar-

tysta i żołnierz. Dwie godziny pa-trytyk na ludzi, którzy po cało-dziennej pracy i upale przyszli na kamieniste zbocze aby zobaczyć przedstawienie, aby płakać i śmiać się.

Za opadłą kurtyną lekarz mierzy temperaturę chorej na malarię ar-tystce. Na widowni wspani kaprale wycierają dyskretnie łzy.

Inaczej przyjmuje się teatr żoł-nierski w bombonierkowej sali Króla Faisala, a inaczej mierzy się sercem pracę teatru w pustyni.

Wszyscy wiemy, że najlepiej grać sztuki najlepsze, ale kryteria na „najlepszość” są różne w różnych miejscach.

Publiczność pustynna zanim pój-dzie na przedstawienie, musi co-dziennie przejść znojuce upałem działo-czynny czy ostre strzelania. Ludzie wpatrzyli w scenę wybudowaną często w czasie hamsinu, dostrzegają wady i zalety granej sztuki rów-nie dobrze jak i nie żołnierska widownia — ale dostrzegają również serce włożone w przedstawienia i sto-sunek artystów do nich.

Teatr Dramatyczny APW gra codziennie gdzie indziej. Nie kłmią ich malarie i rozbite kolana. Patrzy-łem na nich z bliska, rozmawiałem z nimi, widziałem jak żyją i pracują. Widziałem w nich tyle zapalczywego oddania się pracy, tyle radości z za-dowolenia widowni, z dobrze spel-nionego obowiązku. Teatr jest młody i pracować w istniejących warun-kach bardzo w nim trudno. Nie ma sztuki, jest upał, nie ma za wiele zdro-wia. Jest jednak najważniejsze: za-pałał i ukochanie trudnej pracy.

Gdy odeją ostatni widzowie, gdy odjadą panie ocalałszy pogubione lusterka i charakterystatorskie szminki — miska połowa zespołu zabiera się do składania dekoracji i roz-montowania sceny.

Jutro znowu będzie upał i kurz. I będzie przedstawienie, na które czeka wiele żołnierskich serc.

Jerzy Bazarewski

## RADIO BAGDAD PO POLSKU

13.VI. niedziela, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) Fragment z „Pana Tadeusza” — „Zbawienne rady Barika”. 3) Koncert trio radio-wego. W programie: a) Wieniawski. Mazurek (solo na skrzypcach — H. Gold), b) Wiązanka walców polskich.  
14.VI. poniedziałek, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) Chopin.

Koncert e-moll (allegro maestoso) w wyk. A. Rubinsteina z tow. londyńskiej orkiestry symfonicznej (płyty).

15.VI. wtorek, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) Tygodnio-wy przegląd wydarzeń — w oprac. M. Romana. 3) Muzyka i piosenka.

16.VI. środa, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) Drugi raport z pobytu Naczelnego Wo-dza wśród APW — Zb. Racięski. 3) Chopin. Koncert e-moll (vivace) w wyk. A. Rubinsteina z tow. londyńskiej orkiestry symfonicznej (płyty).

17.VI. czwartek, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) „Trzecia wolność Fr. Roosevelta” — M. Roman. 3) Koncert trio radiowego. W pro-gramie: a) Boulanger. Serenade (solo na skrzypcach — H. Gold), b) „Me-lodie wspomnień”.

18.VI. piątek, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) Inż. H. Bogusławski. Z cyklu „Wiedza i Zycie” — „Noktowizja”. 3) K. Wierzyński. „Zielone jeziora” — wiersz. 4) Meniuszko: „Dwie zorze” i „Kra-ko-wiaczek” — Śpiewa M. Mysłowska, akomp. J. Petersburski.

19.VI. sobota, godz. 19 — 19,20  
1) Dziennik radiowy. 2) Z cyklu „O czym się mówi i pisze na świecie”. 3) Pogadanka religijna. 4) Haydu. Symfonia dzwonowa (płyty).

## POSZUKIWANIA

299. Mucha Piotr (P. F. P. 103) — żony Genowefy z synami Ryszardem i Brunonem.  
300. Linkowski Czesław (P. F. P. 139) — Annę Linkowską z os. Werba-pow. dubieńskiego.  
301. Igraszek Jan (P. F. P. 638) — żony Stanisławy, córec: Wandy Jadwigi, Henryki i Zofii, synów: Henryka i Jana.  
302. inż. Lachman Feliks (P. F. P. 58) — Wojcieniec Józefa, sółtysa z Bogdanowa, woj. nowogródzkie i Sawickiego z Bogdanowa.  
303. oeh. Harasimowicz Weronika (P. F. P. 82) — ojca Bolesława Harasi-mowicz ze Stołowicz, ostatnio w 7 D. P.  
304. Dokurno Edward (P. F. P. 137) — Burakowskiego Czesława i Makie-wiczowej Ludwika z Sokocienię, pow. oszmiańskiego.  
305. Moszczyński Piotr (P. F. P. 633) — żony Moszczyńskiej Bronisła-

wy, córki Henryki Ireny, Bubnow-skiej Anny córki Tomasza oraz swa-gierki Bubnowskiej Stanisławy córki Antoniego, wywiezionych z nadleśnic-twa Deniskowicze, powiatu Iuninieck-iego.  
306. Koncпка Olga (P. F. P. 57) — szwagra Szczepaniaka Mikołaja, zam. w Mariampolu, pow. stanisławow-skiego.  
307. Sawicki — Lubicz Władysław ze Lwowa (P. F. P. 125) — Szklara Zygmunta ze Lwowa, Switeziaków i znajomych.  
308. Urban Zygmunt (P. F. P. 195) — Wolf Janiny z Drohohyca.  
309. Słota Zdzisław (P. F. P. 109) — wachmistrow Furmanek Andrzej i Jankowiak Jana.  
310. Bartoszewicz Wacław (P. F. P. 516) — Michała Żurawia z Lub-icza n/Niemnem.

St. N.-el. Dziękujemy za przysła-ne wiersze, ujmujące szczerością. W druku jednak to nie wyszłoby dobrze — forma jest zbyt surowa: Adam Km.-k. Te „limeryki” musiałyby być językowo mocniejsze, aby nie było obawy, że czytelnik śmieć się będzie nie z ich treści, a z redakcji „Orla”. Dziękujemy w każdym razie i cieszymy się, że jakieś próby humoru zaczynają na-pływać.

Kel. Dziękujemy za nowe ogo-wiadanie. Zamierzamy skorzystać ze skróceniem początku.

L. M. Dziękujemy za raportaż. Umieszczenie zależeć będzie od miej-sca.

Strzel. S. Lub. Dziękujemy za nowelę, współczujemy, ale nie sko-rzystamy.

Iks. Dziękujemy za wiersz „Me-tamorfozy”. Rymika jednak nawet w wierszu wojnym, dalekim od re-gularności, musi mieć jakąś konse-kwencji. Zgodzi się Pan może z na-mi próbując wiersz swój przeczytać głośno.

Jan Ol. Dziękujemy za wiersze. Wydrukujemy i prosimy o więcej.

Or. Dziękujemy za „Malarię”. Fragmenty dobrze napisane, ale nie udało nam się uchwycić konstrukcji, ani myśli przewodniej całości.

Pchor. Al. Gr. Dziękujemy za artykuł. Ciekawy jak zawsze, ale wydaje nam się mniej od poprzed-niejszy popularny z powodu przelado-wania klasyfikacją, dlatego nie bar-dzo nadaje się do tygodnika. Pro-simy nadal o pamięć.

Plut. Stefan J.-cz. Dziękujemy za przesłany wiersz, którego forma wydaje nam się jednak znacznie słabsza od poprzednich.

Z. Z. Zapytanie Pana przestaliśmy właściwym władzom z prośbą o wy-jaśnienie.

Mjr H. P. Dziękujemy za list, ale też dyskusji nie chcielibyśmy już na nowo otwierać.

Strzel. St. Z.-ski. Przesłany przez Pana list przekazaliśmy Poczcie Po-łowej.

Ir. Br. Dziękujemy za otrzymane wiersze. Są w nich fragmenty niezłe, ale żadnej całości nie udało nam się z tego skleić.

Witold R.-ski. Dziękujemy za artykuł, który już drukujemy.

Jan L.-cz. Dziękujemy za nowy felieton, lekki i zgrabny. Drukujemy.

Jerzy W.-n. Dziękujemy za re-portażyk. Wpiszę jednak drukujemy już jedną inspirację na ten temat, a wielu recenzji z jednej sztuki nie chcielibyśmy dawać. Pańska więc przestaliśmy zgodnie z życzeniem.

## „PARADA”

Otrzymałmy Nr 4 „Parady”. Wygląd zewnętrzny numeru świad-czy o ciągłym dążeniu do ulepszeń i rzeczywiście jest nader dla oka przyjemny. Słusznie redakcja w więk-szym niż poprzednio stopniu udos-tępnia polskim czytelnikom świetny materiał ilustracyjny angielski. Na ciekawą treść zeszytu składają się następujące artykuły: Roman Fajans: Na frontach wojny i polityki, Jul. Mier. Kemandos — nowocześnie zago-czy, O.-ski: Kopernik, Jmr.: Przy-czyłek mestowy Europy, Zygmunt Lityński: Ostatnia bitwa w Afryce, N.-n.: „Wiszące oczy”, Juliusz Miero-zowski: „Kościuszko” Moniki Gar-dner, Stanisław Natanson: Lotniczy pogląd na wojnę, S. N.: Liczyb, ko-nie i ludzie oraz recenzje, sprawo-zdania i rozrywki umysłowe.